

# DZIS i JUTRO

## KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok II

Warszawa, 17 marca 1946 r.



Nr. 11 (17)

Bolesław Piasecki

## K I E R U N K I

### IV

Podświadomość zbiorowa Polaków jest w stanie niepokoju. Dowodzi to poprostu, że nasz narodowy organizm jest żywy, bo reaguje na dreszcze, które wstrząsają całym światem. Trzeba zrobić wszystko, aby niepokój ten w całym jego zakresie przenieść do świadomości. Zarówno dla narodu, jak i dla jednostki jest tylko jeden sposób twórczego i owocnego życia: rozwiązywać świadomie wszystko, co stało się wewnętrznym odczuciem, czy przecuciem. Na tym przecięciu polegająca i niezastąpiona siła religii w dziedzinie pozadoczesnej, a wielkich idei w historii, że organizują podświadomość.

Dlatego trzeba, aby współczesna polska myśl nadała za intencją organizmu narodowego. Nie wystarcza służba starym celom, choćby koniecznym do osiągnięcia, gdy historia wysuwa nowe zadania. Realizm celu życia zbiorowego należy oceniać nie tylko potrzebami danego środowiska. Realnym jako zadanie dla narodu jest nie tylko to, co mu jest bezpośrednio potrzebne, ale także ta treść, która mobilizuje w nim siły niezbędne do życiowych osiągnięć.

Kryzys naszej narodowej podświadomości polega na braku dostatecznego poczucia wielkości sprawy. Chcemy, aby Polska była wielka, szczęśliwa, potężna. Chcenie to jednakże nie daje nam poczucia dostatecznej wewnętrznej siły. Zjawisko to jest nowe. Dość wspomnieć, jakie napięcie atmosfery wielkości wywoływały nasze czyste narodowe pragnienia w orkesie okupacji niemieckiej. Nagle znikła samoobronna koncentracja uwagi na konspiracyjnej walce z Niemcami, jaką samotnie toczyliśmy w kraju. Wkroczyła do nas współczesność światowych prądów ideowych i politycznych. Spostrzegliśmy wyraziście, że problemy polskie nie są jedyne, zaskoczyła nas ich proporcja do zagadnień międzynarodowych. Stwierdzamy to wyraźnie, że tu tkwi zasadnicza przyczyna kryzysu poczucia narodowej siły.

Powstał w Polsce prąd realizmu, który nie budzi zaufania. Zwolennicy tego kierunku wyjaśniają zagadnienie dostępnie. Dlaczego naród polski nie ma poczucia siły? Bo zburzono nam Warszawę, bo jesteśmy zrujnowani gospodarczo, bo straciliśmy wiele milionów ludzi. Wszystko to stanowi niewątpliwą prawdę. Szkoda tylko, że wspomniany gatunek realistów wyciąga z niej wnioski najbardziej abstrakcyjne. Sprowadzanie zagadnienia mocy polskiej do kwestii populacyjnej i gospodarczej odbudowy jest fantastyczną próbą wmówienia w siebie, że możemy zakonspirować przed światem swoje potrzeby. Jest to złudzenie. Polska odbuduje się o tyle tylko, o ile odnajdzie właściwą sobie rolę w światowych powiązaniach.

Twierdzimy to stanowczo, zagadnienia pozycji międzynarodowej narodu polskiego nie można sprowadzać tylko do dysproporcji materialnych. Zestawienie Polski na płaszczyźnie międzynarodowej z Rosją czy Stanami Zjednoczonymi daje nie tylko obraz niewspółmierności potęgi materialnej. Mocarstwa te realizują świadomie cele ponadnarodowe, Polska dotychczas świadoma jest jedynie swych potrzeb narodowych. Powtarzamy raz jeszcze: w tym właśnie fakcie widzimy źródło naszego niedostatecznego poczucia siły. Rodzi się bezradność, wynikająca z przeświadczenia, że jesteśmy na marginesie działań innych narodów

Przyjętym jest obecnie dzielenie ludzkości na mocarstwa i narody małe. Niewątpliwie jesteśmy liczebnie i materialnie narodem małym. Nie ulegajmy jednak hypnozje różnic liczebnej i materialnej siły. Pamiętajmy o przykładzie niemieckim. Epoka, w którą świat wkracza, jest charakterystyczna tym, że każdy naród musi służyć właściwym celom ponadnarodowym. O ile którekolwiek z obecnych mocarstw popełni błąd w rozumieniu swej służby ludzkości, spotka je los niedawnego mocarstwa niemieckiego. Naodwrot, o ile któryś z obecnych narodów potrafi twórczo służyć wyższemu od swego egoizmu celom, można z pewnością o nim powiedzieć, że historia go wyniesie na drogę wielkości.

Maciej J. Kononowicz

### Rozmowa z Matką Boską

Idzie noc — będą gwiazdy i pomruk motorów

Głęboki, groźny, ciepły, głuchy —

Chłodni ludzie falami popłyną na połów

Z ładunkiem bomb i sercem w łufie —

Ty płaczesz Matko Boska?

Nie dziw się, że w naszych oczach brakło łez —

Przecież nam hełmy zdarto z głowy,

Przerwaną wolność zdeptał gniew.

Wiesz, jak nam było ciężko w zatęchłym podziemiu,

Gdy chłapano po murach kulami i krwią —

Trzeba było znów Polskę nazwać po imieniu,

Życiu oddać swe życie — a wieczny sen — snom —

Trzeba było już wreszcie umierać inaczej,

Nie bezwolnie wleczonym na szubienic słup —

Trzeba było samemu granatem wyznaczyć

Krąg wolnego powietrza szerszy niżli grób.

Lęk, strach i niepokój powieki zasłonił,

Oszalałe zwierzęta tętniły po mieście —

A syn człowieczy nie ma gdzieby głowę skłonił —

Chyba pod ciosem pięści na ślepczym areszcie.

Nie płacz Matko Boska,

Przytul się cicho do żołnierskiej piersi,

Zrozum — przebac — błogostaw —

Uchroń od śmierci —

Czekał zbir przyczajony i ściszył świst batów,

Poiliśmy gwiazdami ociemniałe oczy —

Wreszcie — wzniosły się ręce rzutami granatów —

Miasto łuną płaciło za dług gwiezdny — nocy.

Rozgorzały igrzyska krwawej olimpiady,

Mijały się pociski obciążone celem —

Nas do jaskiń morderców znane wiodły ślady,

Gdzie nocą seledynem rdzewiały piszczele.

Matko Boska

Wiesz dobrze: sztandary nie zwiędły,

Był nonsens — konieczność — i rozkaz

Heroizm — alkohol i — błędy...

Serce młot. Krótki oddech. Czas! Czas! Wzrok po łufie!

Brzęk butów — błękit w szybach, co w asfalt się wżarły —

Głowy niżej! Och! depczą — tam depczą po trupie!

Krzyk. — Do mieszkań z pociskiem obłoki się wdarły —

Srebrna jesień przygniotła pękające bloki.

Czołgi zmiotły kalendarz — dni liczymy walką —

Niech się w końcu dopełnią, niech krwi się nażłoczą,

Niech je śniegi przywalą i noc i — legenda.

Ciężki kamień historii dźwigaliśmy krótko —

Dziś waży tyle tylko, ile słowo waży.

Modlitwy się mieszają z przekleństwem, krew z wódką —

Zegnamy Cię, Stolico gruzów i cmentarzy!

Za tę pieśń, która w walce wyrosła

Matko Boża — przebac i błogostaw

Za ten zryw — bez sensu a konieczny,

Matko Boska — daj Im odpoczynek wieczny.

Za Warszawę, którą zalał cmentarz,

Uczyn — Mario — aby Polska była większa

— Za mój dom

— Za niewolę

— Za tułaczkę żony

Matko Boska:

...Niech będzie Syn Twój pozdrowiony —

Obóz Altengrabow.

Zagadnienie tak rozumianego celu narodu polskiego jest natury zasadniczej i przesądza wartość bliższych rozwiązań. Bezcelowym jest układanie najbardziej przemyślanych planów na najbliższy rok, czy parę lat, o ile nie jest rozwiązany problem kierunku polskiego w nadchodzącej epoce.

Toczy się obecnie u nas walka z romantyzmem. Nie mamy nic przeciwko niej, jeśli jest ona zwalczaniem naszej narodowej lekkomyślności i nieodpowiedzialności. Bezrozumnym natomiast jest niszczenie romantyzmu, pojętego jako poczucie wielkości zadania. O ile naród i każdy Polak nie będzie rozumiał wielkości sprawy, której służy, to nie będzie źródła siły do jakiegokolwiek pracy i twórczości.

Harmonia organizacji psychiki jednostki i zbiorowości polega na służeniu uznanej hierarchii celów. Życie zbiorowe specjalnie charakteryzuje się tym, że struktura zadań przenika podświadomość danego społeczeństwa. Skutkiem tego procesu jest samoistna ocena czynów własnych i działań innych, jako twórczych lub jałowych, godnych pochwały lub potępienia.

Niepokój podświadomości Polaków wynika z wywołanej przez epokę konieczności rewizji hierarchii celów. Dążenie do celu narodowego przestaje mobilizować niezbędne siły do jego osiągnięcia. Zjawisko to posiada doniosłość na skalę nowej epoki.

Wyjaśnienie znajdziemy w historii. Był czas, kiedy celem życia jednostki, celem doczesnym oczywiście, była rodzina. Służba rodzinie dawała możliwość twórczego wyżycia się wartości, osobistych człowieka; z drugiej zaś strony absorbowwała jednostkę całkowicie w jej problematyce moralnej, zawodowej. Państwo było organizacją rodzin. Z początkiem humanizmu powstał proces, który ostatecznie jako cel doczesny jednostki postawił zamiast rodziny naród. Pełnia twórczości osobistej stała się możliwa tylko w narodzie, a nie w rodzinie. Państwo zostało organizacją narodu. Istotnym jest zauważyć, że zjawienie się celu narodowego nie rozwiązało obowiązków jednostki wobec rodziny. Moralność jednostki mierzona jest w dalszym ciągu jej stosunkiem do rodziny. Okazało się natomiast, że skuteczna służba rodzinie, umożliwiająca istnienie i rozwój rodziny, da się pomyśleć tylko przez pracę dla narodu. Podobnie epokowa przemiana zachodzi we współczesnym nam okresie. Nic nie rozwiązuje naszego wewnętrznego kontraktu z rodziną i narodem. Pod grozą dekadencji oceniać będziemy dalej wartość indywidualną każdego z nas wedle sposobu, w jaki służyć potrafimy rodzinie i narodowi. Jednak skuteczność naszej służby tym kochanym przez nas celom zależy od pracy dla celu wyższego niż naród — ludzkości. Należy przewidywać także, że państwo przestanie być organizacją narodu, a stanie się organizacją narodów. Oczywiście proces przekształceń wyznaczony jest tylko co do kierunku. Nastąpić musi wiele jeszcze wydarzeń, które przybliżą dotykalnie ludzkości jako cel twórczej pracy dla jednostki, a państwo do organizacji ponadnarodowej. Tym niemniej kierunek wydaje się być wyraźnie wyznaczony i tylko idąc po jego linii osiągnąć można szczęście dla własnego narodu. Nie jest w tej chwili ważnym przesądzać charakter przyczyn tego zjawiska. Można go upatrywać w powiązaniu gospodarczym świata, wywołanym produkcją i wymianą, w zmniejszeniu odległości przez technikę, w potęgę rozprzestrzeniania się myśli i słowa, czyniącej wszystkie granice przenikliwe dla idei.

Kochać Polskę trzeba największym wysiłkiem myśli — trzeba ją kochać stale odnowa, a nie z przyzwyczajenia. Niepokój, przekazywany nam przez narodową podświadomość, chaos doznań naszej świadomości muszą być przetworzone trudem przewidywania. Nie mamy co marzyć o szczęściu ślimaka w skorupie. Nie próbujmy rozumieć suwerenności w sensie anachronicznym. Dawne pojęcie suwerenności sprowadzało się do odpowiedzialności za własne państwo. Obecnie nie wystarczy nawet największe prze-

jęcie się własnymi prawami narodowymi. Faktyczną suwerenność uzyskać można tylko przez własny wkład w organizację współżycia między narodami.

Z momentem tworzenia się narodu, rodzina, aby osiągnąć pożądaną skalę życia, musiała przestać produkować, pracować czy tworzyć dla siebie, a przestawić się na potrzeby narodu. Tak samo współcześnie naród, aby się samodzielnie utrzymać, musi tworzyć wartości kulturalne i gospodarcze nie na własny użytek, ale z przeznaczeniem ich dla potrzeb ponadnarodowych. Służba narodowi przez rodzinę nie jest tylko wyrazem altruistycznej miłości, ale stanowi także przejaw prymitywnych zasad rozsądku. Tak samo służba celom ponadnarodowym przez społeczność narodową jest obecnie nie tylko zagadnieniem moralnym, ale wyrazem odpowiedzialności za byt narodu.

Karygodne i prostackie są próby rozbudzenia siły polskiej przez namawianie nas wszystkich, abyśmy się zajęli tylko swoimi potrzebami. Jest to najlepszy sposób osiągnięcia stanu, w którym nigdy nie będziemy mogli ich zaspokoić. Historia Robinsona Kruzoe jest bardzo dydaktyczna dla rozbitków na bezludnej wyspie. Polska myśl kulturalna i gospodarcza jako aparatu produkcji wymaga warsztatu światowego, a nie podwórka własnego samoudręczenia czy samozachwytu.

Aby służyć Polsce prawdziwej, Polsce panującej nad nurtem przyszłości, trzeba ją ukochać w idei światowej. Musimy się tego tak nauczyć, jak od wieków przywykliśmy kochać własną rodzinę w idei polskiej. Już słyszymy zarzuty: idea polska, to rzecz konkretna, idea światowa to sprawa mętna. Nie wahamy się odpowiedzieć jasno. Kto tak mówi, jest poza życiem. Rzeczywistość Polski będzie znała tylko w jej przeszłości, dalszej lub bliższej. Wszyscy Polacy, którzy nie zdołają się na walkę o wydarzenie nadchodzącej epoki tajemnicy, w jaki sposób Polska ma służyć celom, celom ponadnarodowym, zbankrutują, nie znajdując sposobu służenia narodowi. Bankructwo to łączy załamanie lub zdradę. Załamanie dla tych, którzy będą tkwili w bezradności, zdradę dla tych, którzy przestaną służyć Polsce.

W obecnym czasie trzy mocarstwa: St. Zjednoczone, Rosja i Anglia realizują politykę światową. Tylko one posiadają niezbędną dla takiej skali potęgę. Charakterystycznym jest stwierdzić, że mocarstwa te powstały jako wyraz organizacji mniejszych związków państwowych.

Współcześnie także trzy idee wyrażają plan zorganizowania światowej wspólnoty. Z tych marksizm jest w ofensywie, kapitalizm w defensywie, trzecią jest koncepcja oparcia współżycia narodów na społecznych konsekwencjach katolicyzmu. Idea ta jest w stanie potencjalnym.

Polityczna potęga Sowietów wyznaje założenia marksizmu, Anglosasi w większości reprezentują kierunek kapitalistyczny, częściowo zaś założenia socjalizmu. Koncepcja katolicka nie ma wśród potęg swego wyraziciela.

Polityczne wpływy mocarstw spotykają się przede wszystkim w Europie, Azji i w Organizacji Narodów Zjednoczonych. Terenem walki światopoglądowej jest przede wszystkim Europa Środkowa i Zachodnia. Napięcie tej walki przejmując zdużeniem większość narodów Europy. One to przeciwieństwo stworzyły swego czasu zarówno koncepcję kapitalistyczną, jak i marksistowską. Ideologie te rozeszły się swego czasu z umysłowych ośrodków Europy, aby przyjść z odległego Wschodu i Zachodu w formie wyolbrzymionych fal powrotnych. W Europie też widać wyraźne objawy twórczego niepokoju u myślicieli katolickich.

Polityczny charakter nowego świata zrodzi się z rozgrywki obejmującej całą kulę ziemską. Walka natomiast o ideową treść przyszłej epoki rozstrzygnie się w Europie. Narody europejskie są twórcami idei światowych i napewno w tej jeszcze epoce pozostaną decydującym arbitrem światopoglądowych konfliktów.

Powstałe zagadnienie, jaką w tych warunkach winna być rola Polski w służbie światowego współżycia.

Bolesław Piasecki

Jerzy Mikke

## Trzy rzeczywistości młodzieży akademickiej

Jestem studentem... Artykuł niniejszy jest próbą syntezy tych dróg rozwojowych, jakie przeszło moje pokolenie akademickie od ostatnich lat przed wojną po dzień dzisiejszy. Nie stanowi on wypowiedzi programowej jakiegokolwiek bądź ugrupowania. Wynika jedynie tak z osobistych przeżyć, jak i szeregu rozmów ze słuchaczami różnych wydziałów uczelni Warszawy, Krakowa i Poznania.

### UNIwersYTETY NA CENZUROWANYM

Nie jest kwestią przypadku, że IX sesja KRN na jedno z czołowych zagadnień państwowych wysunęła problem wyższych uczelni. Od dłuższego czasu problemy te stanowiły przedmiot ożywionych dyskusji, a nawet ataków ze strony większości prasy politycznej. Ataki te kierowały się przeciw stosunkom na wyższych uczelniach.

Postawieniem więc spraw wyższych uczelni na porządku dziennym KRN poprzedzone było sformułowaniem przez część prasy politycznej zarzutów, przeciw którym tylko sporadycznie ukazywały się odpowiedzi.

Źródła niechęci niektórych dziennikarzy i posłów do młodzieży akademickiej wywodzą się z czasów minionych. Trzeba pamiętać, że nie tylko zmieniła się dusza pokolenia, ale i styl życia, wyrażający się w codziennej pracy, w rozgrywkach i wszelkich poczynaniach. Wraz z ginącym światem przedwojennym pojęć zginąć również musiał typ studenta politykiera, czy hulaki, jako niepotrzebny rekwizyt minionej epoki.

### II. ODPOWIEDZ NA ZARZUTY

Odpowiada prawdzie fakt, że na wyższych uczelniach w ostatnich latach przed wojną zaczęły co raz wyraźniej dominować wpływy totalistyczne. Odpowiada prawdzie fakt, że korporacje akademickie wyciskały często ujemne piętno na życiu studenckim, oraz, że działalność ich mijała się z pierwotnymi założeniami korporanckimi. Zgodnym z prawdą jest również fakt, że procent młodzieży robotniczo - chłopskiej na uczelniach był nieproporcjonalnie mały, jej warunki materialne niezmiernie trudne, wola pracy największa przy zgoła nierównych szansach na przyszłość. Wszystko to prawda. Lecz obwinianie za ówczesny stan rzeczy obecnej młodzieży akademickiej jest płytkim i jednostronnym, poprostu ułatwionym podejściem do zagadnienia.

Upóźnienie studentów z proletariatu wynikało z systemu sanacyjnego, opartego na kapitalizmie i protekcjach. Natomiast pofaszystowska postawa licznych żywiołów akademickich była rodzajem reakcji przeciw wpływom i polityce sanacyjnej, była rodzajem buntu.

Nikt nie zaprzeczy, że na kilka lat przed wojną zaczął się wśród nowego pokolenia dynamiczny proces szukania nowych dróg, mających wieść do innej, lepszej Polski. Rodziła się w młodych sercach tęsknota do innej rzeczywistości, budziła się wola wielkości dla narodu, powstawały koncepcje heroicznego pojmowania życia. Widząc marazm rzeczywistości w kraju, zaczęto szukać wzorów obcych, tam, gdzie w ciągu lat niewiele powstawały z ludów wyczerpanych wojną olbrzymie, potężne wartości narodowe.

Patrzono w lewo na bezkresne krainy rosyjskie i widziano milionowe zastępy młodzieży sowieckiej, realizującej rewolucję społeczną. Spojrzano na prawo, na Niemcy i Włochy i ujrano gigantyczne przygotowania wojenne. W tej sytuacji dla młodzieży ówczesnej przystosowanie form ustrojowych, a potrosze i duchowych, do sąsiada z prawej lub lewej strony, stało się koniecznością. W czasach, gdy wszędzie bankrutowała liberalna, burżuazyjna demokracja, gdy nad Europą skrzyżowały się dwie przeciwstawne ideologie, dwa mity milionów, trzeba było wybierać. Część młodego pokolenia poszła pod sztandary marksizmu, inna część

opowiedziała się za narodową rewolucją społeczną pod hasłem imperializmu.

Na krystalizację światopoglądów w duchu zgodnym z tradycją polską zabrakło czasu. Stąd przewaga biologicznych impulsów nad hamulcami etycznymi. Stąd przy istnieniu wielkich pragnień kroczenie po mniejszej linii oporu. Temperatura rozpolitykowanej młodzieży wyżywała się w szkodliwych awanturach. Lecz genezą ich była niemoc Polski, słabość gospodarczo - społeczna, bezideowość reżimu. Próbowano zwalczyć zło zgoła fałszywymi metodami. Naprawdę...

### III. OKRES BOHATERSKI

Pierwszy wrzesień 1939 r. zamyka poprzednią rzeczywistość obecnie studiującej młodzieży — otwiera drugą. Kampania jesienna brutalnie zerwała mit naszej mocarstwowości. Rozwiał się marzenia młodego pokolenia o wielkim przełomie narodu na drodze wiodącej polskie dywizje z Warszawy do Berlina.

Lecz student - podchorąży i uczeń gimnazjum spełnili swój twardy żołnierski obowiązek pod Kutnem i Warszawą.

Pierwszy dzień okupacji rozpoczyna wspaniałą epopeę narodu, któremu w sensie bezpośrednim przewodzi wygnana ze szkół młodzież. Ona odtąd stanowi główny trzon organizatorów — dowódców Armii Podziemnej w terenie. Ona prowadzić będzie walczący naród od ponurych dni jesieni 39 roku przez partyzanckie lasy, przez skrwawioną stolicę do styczniowego wyzwolenia.

Lecz zadaniem naszym nie jest przypominanie roli młodzieży w czasie tych sześciu lat bohaterskich. Wartość tej roli bezsporna. Chodzi o coś więcej, niż o tani patos bohaterstwa czy męczeństwa. Chodzi o wykazanie tych czynników, które wyrzeźbiły duszę młodego pokolenia i wpłynęły zasadniczo na przemiany w nim zachodzące.

Walka i ofiary są tylko wyrazem formalnym sześciu lat życia pokolenia. Są uwodzicielską legendą dla tych wszystkich, co zdala stali od nurtu konspiracyjnego życia, jak i dla tych, którzy przyjdą po nas... Nie w nieustraszonych bojach partyzanckich i nie w męczeńskiej śmierci tkwi istotny sens minionego okresu. Jego prawdziwie głęboką treść stanowi świadomie bohaterskie życie.

Działalność konspiracyjna jest tylko jednym z aspektów. Dzięki niej młode pokolenie odegrało rolę niewspółmiernie wielką w stosunku do swego wieku i do świadectwa w Polsce Podziemnej. W poczuciu przyjętej na siebie odpowiedzialności za losy tysięcy podległych sobie istnień gruntowało się zrozumienie narodowej służby. Krzepła wewnętrzna jego moc w twórczym dorobku ideologicznym. Z wnikliwej obserwacji dziejów ojczystych, oraz odczucia palących potrzeb społecznych powstawały próby syntezy, zręby nowej ideologii narodu.

Odmiennym znamieniem pokolenia okupacji jest pogój za Prawdą, powszechną i absolutną, jednakowo obowiązującą jednostkę i społeczeństwo, naród i ludzkość — za Prawdą, która nada nowy sens nadchodzącym czasom. W męce, zadawanej nie tylko przez okupanta, lecz w męce własnej szamoczącej się duszy, w ustawicznych aktach woli walczącej z pokusami zła, w drapieżnym wgrzaniu się w rytm nadchodzących czasów — odrodziło się pragnienie poznania istotnego Dobra.

Świadczą o tym przepełnione młodzieżą kościoły, oraz powszechny, żywiołowy nawrót do katolicyzmu. I w tej uniwersalistycznej próbie przebudowy człowieka i życia na ziemi leży inna, ponadnarodowa, ogólnoludzka wartość naszego wojennego dorobku.

### IV. ROZDWOJONE JAŚNIE

Życie okupacji nie zamykało się tylko w podziemiach. Nie sprowadzało się do wykuwania pojęć ideowych lub akcji dywersyjnych.

W splocie istotnych, pozytywnych wartości walki podziemnej z codzienną walką o byt materialny tkwił tragizm młodego pokolenia. Widmo niepewności materialnej jutra rozpętało namiętności ludzkie w egoistycznych dążeniach jednostek. Wraz z upadkiem indywidualnej etyki oraz zdeprecjonowaniem wartości życia, wzrastała waga pieniądza i niemoralnej siły. W codziennej walce o byt, miejsce w tramwaju, o „ausweis“, zarobek, niszczyły charaktery, bankrutowały aspiracje, karłało wewnętrzne poczucie wartości.

Okupacja przyniosła całkowity chaos w stosunkach społeczno - gospodarczych. On wpłynął zasadniczo na rozwój młodzieży szkolnej i akademickiej. Wyrwał ją z ustalonych dla każdego pokolenia form życia, pozbawił szkoły, jako dotychczasowego środowiska wychowawczego, narzucił obowiązek nienormalnego zarobkowania. Student i sztubak, przekształcił się w zewnętrznych formach bytowania w handlarza, szmuglera, robotnika, czy biuralistę. Wygnany z własnego środowiska wszedł do społeczności dorosłych nie jako dyplomowany fachowiec, lecz jako przypadkowo rzucony przez losy zbieg, niewolnik koniecznego zarobkowania. Powstał w nim trzy jakby różne skłócone z sobą świadomości: studencka — a więc normalna, która wyrwa się do utraconej szkoły i środowiska; konspiracyjna — pełna poczucia odpowiedzialności za innych, prowadząca społeczeństwu, elitarna; wreszcie niewolnicza — goniąca za groszem dla utrzymania siebie i rodziny — spauperyzowana, podeptana w godności, niepewna dachu nad głową i chleba. Nie dla tego trwającego przez całą wojnę konfliktu unosiła się stale trwoga o społeczną przyszłość osobistą; żal lat zmarnowanych bez nauki; poczucie rosnących zaległości w rozwoju i wykształceniu. Rodziła się w psychice młodzieży paradoksalna dysproporcja między jej elitarnym udziałem w konspiracji, dyktantyzmem samouctwa, (tajne szkolnictwo wyższe mogło zaspokoić minimalne ilościowo potrzeby), a nędzą rzeczywistości codziennej. I w takim błędnym kole wewnętrznych rozterek obracało się życie pokolenia okupacji.

### V. REALIZM POPOWSTANIOWY

Punktem zwrotnym w tej permanentnej rozterce psychicznej młodej Polski było powstanie sierpniowe. Istniała do niedawna w publicystyce naszej namiętna polemika na temat jego konieczności psychologicznej. Pewne jest już dzisiaj jedno. To mianowicie, że w upalnych dniach lipcowych 44 roku potencjał woli czynu zbrojnego podsycany systematyczną wieloletnią propagandą przemienił się w nieoczekiwany żywioł.

Fiasco powstania wytknęło się mierzycie zniszczeniem stolicy, tysiącami poległych i deportowanych. Ale w lunach ginącej Warszawy wyczerpało się również morale narodu. Zbankrutowała koncepcja polityczna rządu londyńskiego. Zmalał dawny sens walki. Spopieliły się po raz wtóry nadzieje młodego pokolenia. Upadek powstania, to zachwianie autorytetu władzy.

Odtąd aż do końca okupacji, mimo lokalnych walk, zapanował nad społeczeństwem duch apatii. Następuje tu tak typowy dla historii wszystkich okresów powojennych odwrót z pozycji romantycznych do pozytywizmu. Zdawaćby się mogło, że skoro od strony społeczeństwa wychodzą tendencje pozytywistyczne i skoro rząd ten kierunek reprezentuje w znalezieniu wspólnego porozumienia. A jednak...

Realizm polityczny PKWN'u cechuje nieuwzględnianie romantycznych cech duszy polskiej. Historia nas uczy, że jeśli jakieś kierownictwo polityczne pragnie osiągnąć również przywództwo duchowe narodu, winno wnikać w wewnętrzne potrzeby narodu, wczuć się w jego tradycje i tęsknoty, by celom nieraz niepopularnym i choć koniecznym nadąć wy-

nową dostępną psychice społecznej. Pomijanie tej prawdy kosztowało wielu realistów tej miary, co Luboński, Wielopolski, Stańczyk, nawet Dmowski (w pewnych okresach) utratę władzy i dorobku. Obecna polityka „akademicka“ zdaje się być takim właśnie błędem psychologicznym.

## VI. NA PRZEŁOMIE

Najpierw szereg dygresji. Młode pokolenie — inteligentnie weszło do obecnej Rzeczywistości polskiej z uczuciem wielkiego zmęczenia i gorzkiego zawodu po klęsce warszawskiej. Choć pozbawione dawnego politycznego kierownictwa, będąc po latach przemian ideowo jednolite, odczuło swym zdrowym instynktem konieczność politycznego realizmu. Uznając własną rolę za skończoną w walce o wyzwolenie, wróciło do nauki. Obserwowany obecnie powszechny głód wiedzy dowodzi istnienia tego realizmu. Załamaniem się koncepcji A. K. i Delegatury Londyńskiej, wyznawanych przez większość pokolenia — spowodowało odpyły od polityki.

W dzisiejszym kształtowaniu się naszej państwowości — młodzież bierze udział przede wszystkim przez pracę nad sobą, przez naukę. Rozumie, że jej naczelnym zadaniem społecznym jest fachowość. Racja stanu wymaga, by jaknajszybciej wypełnić luki w dziesiątkowanych szeregach inteligencji. Nawet na najblyskotliwszy dyletantyzm nie ma dziś miejsca. Idą czasy twarde, gdy przebudować trzeba wszystko od nowa, od jednostki poprzez rodzinę, poprzez naród, poprzez ludzkość całą. Dwie są płaszczyzny tej przebudowy: pierwsza ideowo-moralna, druga techniczna, formalna. Wyrazem pierwszej będzie formacja psychiczna narodu, ideał kulturowo - cywilizacyjny, wykonywany przez osobistą pracę duchową według pewnych określonych form. One mają odpowiedzieć na pytanie: kim jesteśmy w świecie? Co trzeba zrobić, by własną pracą uzasadnić celowość istnienia? Drugim zagadnieniem jest: jak to zrobić, jakimi posługiwać się środkami, by spełnić warunek poprzedni? Jak urządzić życie, by było ono lepsze i szlachliwsze dla wszystkich? A z tym technika, ekonomia, nauka, problemy reform społecznych. A z tym zagadnienie fachowości: wyszkolenie pełnowartościowych inżynierów, uczonych, handlowców, urzędników.

Pokolenie dziś studiuje ciężkie zadanie najbliższej przyszłości pragnie wziąć na swoje barki, jako element zawodowo wyrobiony. Nie chce dopuścić ponownie do jaskrawych anomalii społecznych i psychologicznych czasów okupacji. Dlatego się uczy. Wie bowiem, że polityka nowej epoki przejdzie z kulturów parlamentów do funkcji dojrzałego wyrażania wartości społecznych, kulturalnych i gospodarczych. Tym się tłumaczy fakt zniknięcia z dzisiejszych uczelni rozpanoszonego przed wojną politykierstwa.

## VII. W WALCE O ŚWIATOPOGLĄD

Obecna cisza na uczelniach jest zjawiskiem znamionym. Wszystkie prawdziwie głębokie przemiany powstawały w ciszy. Cechą wielkich procesów dziejowych jest żywiołowy udział w nich młodzieży. Na początku każdego ruchu była wiara w jego absolutny sens. Najpierw powstawał bunt przeciw dawnym typom cywilizacyjnym, potem rodziły się tendencje nowe, poparte wiarą mas, potem powołała ich krystalizacja. Do wiary pełnej, bezinteresownej, ofiarnej, zdolny jest przede wszystkim irracjonalny duch młodości. On rozróżnia omal intuicyjnie to, co przebrzmiało i skończone, od tego, co się rodzi, co jeszcze nie gotowe, niepojęte. Młodość jest rewolucyjna z samej swojej natury. Zarzucać jej reakcyjność, znaczy tyle, co przeczyć jej istnieniu. Ona szukając nowych dróg, wciąż burzy się przeciw wszelkim narzuconym doktrynom, oznaczającym kostnienie. Każda doktryna bowiem, oparta na autorytecie czystego rozumu, coś ogranicza, coś wyklucza. Nie umiając wytłumaczyć niepoznawalnego odrzuca je wogóle. Młodość zaś popędami tkwi w filozofii bytu. Ona jest niewyczerpanym źródłem wiary

Zyjemy na przełomie dwóch epok. Nowa era ukazuje się nam dopiero w swych zarysach rozwojowych. Wiemy jedynie, że wypełni się ona walką dwóch przeciwnych światopoglądów — spirytualistycznego, chrześcijańskiego, opartego na wierze i Łasce, oraz marksistowskiego, będącego przez swój detryminizm jakby filozofią materii. Inaczej też pojmuje katolicyzm treść przemian duchowych, jakie idą. Opierając się na prawdzie wiecznej, i z niej wynikających zasadniczych, niezmiennych praw rozwoju człowieka i życia społecznego przez tradycjonalność swą bywa napiętnowany jako reakcyjny. Jest to zasadnicze nieporozumienie. Katolicyzm nie jest związany z żadnym typem ustrojowym przeszłości. Sprzeciwia się natomiast wszelkim koncepcjom społecznym, niezgodnym z naturą. Nie uznaje ani wielości prawd, ani względności. Jest absolutny w dążeniu do upowszechnienia jednej, objawionej.

Jeśli w powyższej linii podziału ołbrzymia większość młodzieży akademickiej opowiedziała się postawą swoją za spirytualizmem, nie znaczy to, by pragnęła ona powrotu do czasów uprzywilejowanego wyzysku społecznego, bo ten tylko może odpowiadać ścisłemu pojęciu reakcji politycznej.

Jeśli młodzież proklamuje swój katolicyzm, to dlatego, że poprostu jest on bliższy jej psychice. Ontologia chrześcijańska jest przez swą głęboką prostotę atrakcyjniejszą. Niepoznawalne bywa zrozumiałe przez wiarę. Materialistyczne pojmowanie dziejów z prymatem motywów gospodarczych, z całym naukowym uzasadnieniem walki klas, jako czynnika nadrzędnego w historii, nie może przemawiać do przekonania pokoleniu, które w latach konspiracji naoznie stwierdziło kruchość interesów klasowych wobec idei organicznej wspólnoty narodowej.

Spirytualizm zbliża do siebie różne generacje. Dziś już nie tylko przepełnione kościoły, lecz i zatłoczone po brzegi sale uniwersyteckie na wykładach filozofii (i to przez słuchaczy różnych wydziałów) mówią o wzroście zainteresowań zagadnieniami metafizycznymi. I nie wolno zapominać, że struktura

Paul Claudel

## Święty Józef

Gdy wszystkie narzędzia były już na swoich miejscach i gdy praca dzienna jest skończona,

Gdy od Karmelu po Jordan usypia Izrael wśród nocy i zbóż,  
Jak ongiś, kiedy był chłopcem i gdy było za ciemno na czytanie,  
Józef z głębokim westchnieniem wchodzi w rozmowę z Bogiem.  
Mądrość stawiał nad wszystko i oto mu ją wiodą; — by ją poślubił.  
Jest milczący jak ziemia w godzinę padania rosy,  
Jest wśród obfitości i nocy, jest mu dobrze z radością, jest mu dobrze z prawdą.  
Maryja jest w jego posiadaniu, strzeże ją od każdego zła.  
Nie w jeden dzień nauczył się nie być samotny.  
Niewiasta zdobyła każdą część serca, roztropnego teraz i ojcowskiego.  
I znowu jest razem z Ewą w raju!

Oblicze, tak bardzo całej ludzkości potrzebne, zwraca się z miłością i poddaniem ku Józefowi.

Tu już nie jest ta sama modlitwa, ani też dawne oczekiwanie.  
Czuje, jak się na nim wspiera Istota głęboka i niewinna, niby ramię nagle zwiśnię bez nienawiści.

To już nie wiara, naga wśród nocy, to miłość, która tłumaczy wszystko.  
Józef jest wspólny z Maryją, a Maryja jest wspólna z Ojcem  
I my także, by w końcu był dopuszczony Bóg, którego dzieła przerastają nasz rozum.

By jego blask nie był zgaszony przez naszą lampę, a Jego słowo przez gwar, który czynimy,

By człowiek istnieć przestał, żeby przyszło Królestwo Twoje i stała się Wola Twoja,

Byśmy odnaleźli w sobie nasz związek z radością głębin,  
By się uspokoiło morze i aby Maryja poczęła,  
Ta, która lepszą cząstkę obrała i przewyciężyła twardość starożytnego Izraela.  
Patriarcho serc, Józefie, uprosz dla nas ciszę!

(tł. Katarzyna Woźniakowska).

socjalna naszych zakładów naukowych jest inna. Żywił drobno mieszczańsko-chłopski przeważa. Legenda o „panczykach ze dworów i mamin synkach w białych czapkach, siejących reakcyjną zarazę“ — to zwykły paszkwil lub wspomnienie z przed lat.

Brakuje co prawda liczniejszej reprezentacji młodzieży robotniczej. Zachodzi pytanie, czy jej wzrost liczby odbiły się zasadniczo na dzisiejszej rzeczywistości akademickiej w duchu pożądanym przez marksistów? Jeśli młodzież ta weszła z uczciwymi nastawieniami do nauki, wierze, że klimat naszych uczelni nie byłby jej obcy. Dostojne muzy uniwersyteckie posiadają tę właściwość, że przypominają słuchaczom o ich misji w dziele odbudowy, że asymilują tych wszystkich, którzy przez okres wojny przeszli nie jako robotnicy, nie jako chłopcy, czy burżuazja, tylko poprostu jako Polacy.

Sądzę, że jest to racja wystarczająca dla pokolenia, które idzie.

## VIII. KONKLUZJE

Katolicyzm prowadzi dziś walkę o nowego człowieka w Nowej Polsce. Lecz poza konfliktem ideologicznym istnieją też dla katolików, jak i materialistów zadania doraźne. W interesie całości narodu zachodzi konieczność współpracy w realizowaniu doraźnych zadań narodowych. Młodzież katolicka do niej dąży. Konflikt światopoglądowy nie oznacza dla niej negacji wszystkiego, co przez przeciwników zostało dokonane. Uznaje się należycie nakład PKWN'u w walce z okupantem. Ocenia się jego dorobek w polityce zagranicznej. Sojusz w polityce z Z. S. R. R., odzyskanie ziem zachodnich oraz próby przyjaźni z Czechosłowacją pojmowane są, jako kardynalne zasady racji stanu. Również w zakresie stosunków wewnętrznych reforma rolna, nacjonalizacja przemysłu i demokratyzacja szkolnictwa stanowiły główne punkty programów wszystkich nieomal środowisk konspiracji. Jeśli zatem w zasadniczych kwestiach politycznych dążenia rządu pokrywają się z realistycznymi postulatami młodego pokolenia, to należy

na tej płaszczyźnie nawiązać współpracę oraz usunąć obojętną nieufność. Należy sądzić, że rządowi również zależy na popieraniu tysięcy przyszłych specjalistów, ofiarnych, zdolnych i oddanych Polsce.

Jednak ostatnie decyzje K. R. N., zmierzające do daleko idących ograniczeń autonomii uniwersyteckiej oraz do ingerencji czynników 4 stronnictw w życiu akademickim, nie zdają się świadczyć o trafnym doborze środków koniecznych do wzajemnego zaufania. Droga do niego prowadzi jedynie przez uszanowanie niezależności przekonań jednostek, przez niezawisłość polityczną zarządu Bratniej Pomocy z jednej strony, oraz przez szeroko rozbudowaną akcję pomocy materialnej.

Młodzież ma za sobą wieloletnią zaprawę konspiracji. Nauczyła się ważyć słowa. Rozumie odpowiedzialność za własne czyny. Totalizm zademonstrowany przez okupantów zmusił ją do rewizji poglądów. Konstytucyjne swobody obywatelskie traktuje jako nieodzowny warunek osobistego rozwoju, nie zaś jako apel do anarchicznych napaści. Z tych wolności pragnęłaby dzisiaj skorzystać. Bo wie, że jak nie ma prawdziwej demokracji bez obowiązków, tak samo jej nie ma bez praw.

## IX. NAPRAWIĆ ZŁO!

I wreszcie problem drugi, niemniej palący: Rozpaczliwa sytuacja materialna studentów (vide W. Malcer „Robotnik“ 21 stycznia, „Pionier“ 21.I, „Gazeta Ludowa“ 30.I). Ten aspekt pogorszył się jeszcze od czasów okupacji. Psychologicznie stał się znacznie tragiczniejszy. Sprowadza się dla bardzo wielu do alternatywy: nauka, czy poprawa egzystencji, kosztem przerwania studiów. Szczególnie dla tych, którzy mają liczniejsze rodziny na utrzymaniu. Dziś ilość ich niewspółmiernie wzrosła. Ci pracą biurową nie wybrną z fatalnego impasu. Trzeba dorabiać handlem, lekcjami, oddawaniem krwi na transfuzję (nagminne wypadki np. w Krakowie). Dzień bywa za krótki na naukę, noc za krótkie na sen. Anemia wśród niedożywionych, (często jeszcze po obozach i lasach) i wyczerpanych słuchaczy, szerzy się zastraszająco. Śmiem twierdzić, że nie ma w Polsce środowiska społecznego, do któregooby bardziej pasowało słowo nędza, jak akademickie. Tylko ta nędza maskuje się dumą, uśmiechem i... mydłem. Przysłowiowe trudności okresu przedwojennego najbiedniejszej młodzieży nie wytrzymują porównania ze standartem życia większości — dzisiaj. W tych warunkach tylko ślepi mogą mówić o sympatiach młodzieży do ustrojów, głoszących wyzysk mas pracujących.

Zrozumiałe, że państwo nie może sprostać potrzebom. Powiększenie ilości 500-złotowych stypendiów tylko w minimalnym stopniu zaradziłoby złu. Sądzę natomiast, że przy dobrej woli rząd może pomóc wydatniej przez oddziaływanie na podległe sobie organy, aby: 1) Zwiększyć przydziały dla stołówek B. P. oraz kontyngenty odzieżowe (choćby z mienia polniemieckiego); 2) Wyegzekwować potrzebną ilość gmachów na bursy. (Szereg domów w Krakowie zarekwirowanych od roku, stoi pustką); 3) Wpłynąć na politykę podatkową samorządów; 4) Udzielić licencji na dochodowe pisma drukowane, na lokale przemysłowe, czy handlowe Zarz. Brat. Pom. 5) Wykorzystać należycie ziemie odzyskane dla tych celów etc. etc. Możliwości są niewątpliwie liczne i na łamach prasy winny być przedyskutowane. Potrzeba dobrej woli władz i zainteresowania społeczeństwa.

Jest to problem naglący. Na miarę racji stanu. O pokolenie całe idzie. O to, by ludzie, którzy płacili krwią za winy starszych generacji, nie byli zmuszeni niedojadaniem okupywać nauki w demokratycznej Polsce.

Najwyższy już czas pomyśleć o jutrze, by zrozumieć, że strona młodzieży winna być również wysłuchana...

Jerzy Mikko

Wojciech Kętrzyński

## Niestuszny sceptycyzm

Jeszcze zbyt mało się u nas pisze na temat przemian wewnętrznych, jakie nastąpiły w społeczeństwie francuskim. Jakkolwiek nas, Polaków, zawsze blisko obchodziły losy tego narodu, to jednak w tym wypadku zainteresowanie nasze podobnie powinna przede wszystkim świadomość, że Francja jest w tej chwili ośrodkiem tworzenia się zupełnie nowych, epokowych koncepcji światopoglądowych. Po przeżytych długim okresie marazmu, Francja z powrotem pretenduje do zasadniczej roli przy tworzeniu koncepcji nowej, nadchodzącej epoki.

W obliczu potężniejącego starcia światopoglądu chrześcijańskiego i materialistycznego — właśnie we Francji zogniskował się nowy, ożywczy ruch intelektualny, precyzujący katolikom całego świata wizję nową i rewolucyjną, opartą na najpotężniejszym osiągnięciu filozofii katolickiej — na tomizmie. Siła jego polega przede wszystkim na konstruktywnym i pozytywnym tworzeniu nowego ideału kulturowego, odpowiadającego potrzebom współczesnego człowieka, zrywając bezwzględnie i odważnie z naleciałościami minionej epoki, która nie potrafiła realizować naukę Chrystusową.

To też, gdy w numerze 47 „Tygodnika Powszechnego“ p. J. M. Świącicki napisał artykuł poświęcony problemowi, czy Francja katolicka przeżywa dziś rewolucję, sądziliśmy, że z wielkim pożytkiem dla nas autor omówi genezę i podstawy odrodzenia religijnego i wielki przełom psychiczny i światopoglądowy, jakiemu ten kraj uległ. Sądziliśmy, że autor, którego bezwzględnie na to stać, pokusi się na scharakteryzowanie zasadniczych założeń nowoczesnej myśli katolickiej we Francji i postawi swoją diagnozę — jak dalece te koncepcje przeorały umysły i serca liberalistycznej i ateistycznej Francji XIX wieku.

Rozczarowaliśmy się.

Autor zajął się wyłącznie omawianiem przemian zewnętrznie - politycznych, wywodząc pochodzenie obecnego stronnictwa de Gaulle'a, analizując jego ustawienie w stosunku do pozostałych stronnictw francuskich, zastanawiając się, gdzie należy to ugrupowanie umiejscowić: w centrum, na prawicy, czy lewicy tamtejszego układu sił politycznych. Interesuje p. Świącickiego problem, w jakim stosunku stoją poglądy tego stronnictwa do konserwatyzmu monarchistycznego i antyreligijnego liberalizmu.

Kończy więc p. Świącicki swój artykuł postawieniem znaku zapytania nad dorobkiem katolików francuskich, stwierdzeniem, że „to, co teraz widzimy, to są już obiecujące zapowiedzi“, jednak drogą rewolucji jeszcze we Francji nie ma.

Jeśli chodzi o stronę polityczną, niewątpliwie autor miał rację. To, co widzimy, można nazwać dopiero pierwszą próbą zerwania z przeszłością, ciężą jednak na Francji dawne formy życia politycznego, tradycje, autorytety, wreszcie nie wiemy jeszcze, jak dalece przeciętny obywatel francuski odszedł od psychiki rentiera i „bourgeois“. Ostatnie wybory dają tu jednak wiele do myślenia. Jednak każdą rewolucję polityczną poprzedza rewolucja umysłowa — rewolucja pojęć. Wydaje się, że problem, który dziś winien najbardziej interesować katolików w Polsce, a więc i „Tygodnik Powszechny“ — to przede wszystkim przemiany duchowe społeczeństwa francuskiego, nowe koncepcje tam powstające, następnie zaś dopiero wynikające stąd przemiany polityczne.

Autor dał się zasugerować wyłącznie politycznej stronie obecnych przemian francuskich. Jakkolwiek stwierdza on na początku, że: „funkcje polityczne są czymś przemijającym, naprawdę niespożyte znaczenie mają dopiero funkcje cywilizacyjne, dla tego nie należałoby znaczenia omawianego faktu uzależniać od sprawdzianu wyłącznie politycznej natury“, jakkolwiek precyzuje dalej „katolicka partia, to jeszcze nie katolicyzm“, to jednak w całej swej pracy operuje wyłącznie kategoriami politycznymi. We wnioskach końcowych nawet pisze stale o „powodzeniu partii katolickiej“, o „programie katolików „postępowych“, „do ostatecznego zdobycia w dziedzinie myśli chrześcijańskiej przyłączył się teraz niebylejaki sukces polityczny“.

To grube nieporozumienie.

Mouvement Republicain Populaire jest wprawdzie partią, opierającą swój program na najnowszych osiągnięciach katolickiego ruchu umysłowego we Francji, w żadnym jednak wypadku nie wolno stronnictwa politycznego utożsamiać z owymi filozoficznymi i światopoglądowymi osiągnięciami. Nie wiemy, czy nowe to stronnictwo osiągnie polityczne zwycięstwo, nie wiemy, jak dalece przejęło się ono prawdziwie katolickimi koncepcjami, jednak to, co należy dziś przede wszystkim podawać i przede wszystkim analizować — to właśnie same koncepcje czołowych pisarzy katolickich Francji współczesnej.

Jakże daleko odbiega artykuł p. Świącickiego od opublikowanego w Nr 33 „Tygodnika“ czysto sprawozdawczego, a przecież wyczerpującego artykułu p. Karolczyka — „Przemiany we Francji“. A przecież nie ulega najmniejszej wątpliwości, że w gruncie rzeczy obaj o tym samym zjawisku piszą.

Fałszywe ujęcie tematu fałszuje jednak samą treść. Przy omawianiu rozwoju nowej myśli katolickiej we Francji nie wspomnieliśmy p. Świącicki jednym słowem o rozwoju myśli dominikańskiej we Francji, która przecież kształtowała olbrzymią większością katolickiej opinii publicznej, nie wspomnieliśmy o słynnych już na cały świat periodykach — o „Esprit“, „Les Etudes“, „Vie Intellectuelle“, „Sept“, „Revue des Jeunes“.

Co spowodowało, że pisząc o czołowych współczesnych pisarzach katolickich — obdarza ich mianem „katolicyzujących“? Zapewne o tych „katolicyzujących“ pisarzach pisał p. Karolczyk:

„Każda dziedziną kultury francuskiej ma w swym łonie katolicką grupę teatr, beletrystykę, sztuki plastyczne, naukę. Mało tego, świecki katolik we Francji

Jerzy Zawieyski

## Droga do domu\*

Bez trudu znalazłem grób ojca. Pośrodku cmentarza leżała ogromna płyta, przedzielona na trzy części; w środkowej, jak głosił napis, leżał ojciec, po obu stronach jego rodzice. Na płycie ojca było wyryte zdanie z „Trenów“ Kochanowskiego: „Gdziekolwiek jest, jeśli jest, lituj mej żałości“. Te słowa wyrażały aż nadto dobitnie żywiołową miłość rodziców ojca i ten napis, zwracający się nie wiadomo — do Boga, czy do ich syna, zawierał w sobie razem bunt i rezygnację. Litery, choć głęboko wykute w kamieniu, były pokryte mchem, a w niektórych głębszych ich rowkach wyrastało zielsko. Fuste były płyty rodziców ojca. Poza datą ich urodzenia i śmierci — wypisano prośbę o pacieże i westchnienia, — nic ponadto. Widać nie zostawiali już nikogo, kto by, jak oni, błagał o „litość w żałości“.

Pamiętam dobrze tę chwilę, gdy ukląknę przed środkową płytą. Było zupełnie prawdziwe to przeświadczenie we mnie, pierwsze odkąd znalazłem się czy to w Bogudziękach, czy w Iwaszynie, że do tego miejsca, na którym klęczę, szedłem od dawna, zawsze tu szedłem, przez całe życie. Zdawało mi się, że wrosłem w ziemię ojca i że nic mnie już stąd nie zdola ruszyć. Odrzuciłem czapkę na bok, aż potoczyła się gdzieś daleko i próbowałem myśleć o ojcu. Ale nie było najmniejszego skupienia we mnie poza uczuciem, że osiągnąłem jakąś swoją ważną, dawno upragnioną granicę. Mimo, że tak to wyraźnie czułem — dziwiłem się równocześnie, że jestem tu naprawdę i że tego miejsca dotykam sobą, kolanami i rękami. Nie odczuwałem natomiast takiego wzruszenia, jakie mnie ogarniało dawniej na samą myśl, że mógłbym być tak, jak teraz na tym szmacie ziemi, która kryje ciało ojca. Wpatrywałem się długo w płytę, w jej rozmiar, barwę, w jej surowy, prostokątny kształt z krzyżem u góry, na którym wykuta była korona z cierniów. Dookoła grobu rosły drzewa, kwitnące

(Z powieści Jerzego Zawieyskiego, która się ukazała nakładem wydawnictwa F. Kuthana, wyjmujemy poniższy fragment).

jest n a p r a w d ę katolikiem. Jest nim przez katolickie życie i katolickie wykształcenie. Świeccy doktoryzują się z teologii, świeccy (jak Maritain) piszą podręczniki dla studentów teologii, świeccy drukują rozprawy i dzieła teologiczne (Folliet)“.

O samym Maritain, który jest filarem ruchu umysłowego katolickiego, napisał p. Świącicki zaledwie parę słów, zastrzegając się przeciw jego ocenie genezy kłeski 1940 roku.

Pomieszenie pojęć zaznacza się wyraźnie, gdy p. Świącicki wypomina „uderzający kontrast, który zachodzi pomiędzy ciągłym wypominaniem grzechów konserwatywnego katolicyzmu, oraz wykrywaniem grzechów francuskiej polanieczyny, a próbą uprzejmego wyrozumienia swego lewicowego wolnomyślnego przeciwnika“. Zarzut ten może się odnosić tylko do zupełnie nie istotnych manewrów taktycznych. Stanowisko postępowych katolików zostało natomiast niedwuznacznie sprecyzowane w książce p. t. „Le comunisme et les chretiens“. Pisarze tej miary, co Mauriac, Ojciec Ducatillon, Bierdiajew, Alexandre Marc, Daniel-Rops, wyrazili i sprecyzowali stosunek nauki katolickiej i katolików do komunizmu.

„Celowo, piszą oni na wstępie, pozostawiliśmy na boku stronę taktyczną zagadnienia. Nie z punktu widzenia politycznego podeszliśmy do tego najważniejszego problemu, jaki stawia przed nami świat w chaosie, rozważamy go jako konsekwencje doktryn i wypadków, niż chrześcijanie bardziej dbali o wieczne o ich natchmiastowe znaczenie“. Zaręczam p. Świącickiemu, że w pracy tej, której autorzy stworzyli wszak odbudowę światopoglądową stronnictwa de Gaulle'a, nie ma bynajmniej „próby uprzejmego wyrozumienia“ komunistycznego partnera. Nie mniej O. Ducatillon stwierdza obiektywnie: „odrzucono komunizm bez zapoznania się z nim. Katolicyzm zaś powinien i musi bronić się

tylko przy użyciu lojalnych argumentów“.

Trudno jest nam posądzić autora, iż było jego zamierzeniem sprowadzić problem odrodzenia się myśli katolickiej we Francji do problemu programu, czy taktyki jednego stronnictwa. Mimo poczynionych jednak zastrzeżeń, na to jednak wychodzi. Tak dalece rażące jest zupełnie pominięcie milczeniem całego wielkiego dorobku francuskich pisarzy i myślicieli.

Rzecz oczywista, każdemu autorowi wolno ująć temat od strony, która go interesuje. Wolno też było p. Świącickiemu analizować przemiany zewnętrzno-polityczne we Francji, wolno było ograniczyć zakres rozważań do analizy głównych kierunków politycznych.

Nie mniej jednak, dając w zasadzie negatywne, a co najmniej pejoratywne ocenę rozwoju obozu politycznego „postępowych katolików“, nie wolno mu było pominać milczeniem zasadniczego łań, na którym się ten ruch rozwinął. Nie wspomniawszy bowiem ani jednym słowem o osiągnięciach katolickiej myśli filozoficznej i społecznej Francji współczesnej, z których M. R. P. czerpie swe poglądy polityczne, i nie zaznaczywszy dobitnie swego stosunku do tych osiągnięć, pozwała autor sądzić, że zastrzeżenia jego odnoszą się narówni do ruchu politycznego, jak i do jego światopoglądowej podbudowy.

Najpoważniejsze i najpoczytniejsze pismo w Polsce nie może sobie na to pozwolić, by niedomówienia osłabiały, czy podważały zainteresowanie społeczeństwa dla istotnego problemu odrodzenia się społecznej myśli katolickiej. Przeoranie w sposób rewolucyjny współczesnych zagadnień, śmiałe zerwanie z fatalnymi naleciałościami wieku poprzedniego, sformułowanie pozytywnego i aktywnego światopoglądu walczącego o teraźniejszość i o przyszłość — to zasługa Francji współczesnej.

rałem drzwi wejściowe z zamków i wbiegłem prędko na górę do swojego pokoju. Palił się już ogień na wielkim kominie w bibliotece, czyjaś ręka zaprowadziła tu czystość i ład — pewno Awdokia, ktoś inny? — tylko ona. Awdokia, stara już, gruba, wielka — nazywała mnie swoją śpiewną mową kresową: panyczu. Wniosła wódkę, wędliny, później pierogi i mały samowar z herbatą. Nieustannie mówiła, jeśli nie do mnie, to do sprzętów, lub naczyń, gniewała się na nie po swojemu, jakby wszystko, czego się dotykała, było żyjące i czujące jednakowo z nią, Awdokią, dobrą czarownicą, która napewno umiała zamawiać, zażegnawać, złe przepędzać. Najbardziej złościł ją wiatr, który przez szczeliny i spaczne drzwi wdierał się ze światem do wnętrza. Raz gasły świece, to znów otworzyły się z hukiem drzwi balkonowe. Pomagałem Awdokii w jej walce z wichurą. Awdokia mamrotała do wiatru poza oknami:

— Ne chody, ne chody tu, czort chro-myj, — idy procz, na pole, w sad!

Wicher, posłuszny widać Awdokii, przycichał i szedł tam, gdzie mu kazała. Zadowolona i rada gadała później Awdokia z ogniem, groziła mu, potem urągała i mnie także, że nie zjadłem wszystkiego. Odeszła z krótkim: — „Boh z Wami, panyczu!“.

Awdokia musiała znać ojca i gdybym ją o to zapytał, nie szczędziła by mi „swoich wspomnień. Była tu wrota i zespoko“ na z historią Bogudzięk i choć tego nie wiem napewno, — mogło jednak być tak, że wiedziała więcej, niż o samych faktach tylko. Była w tej chwili tutaj nieodczuwalna bardziej, niż dawniej, niż kiedykolwiek. Awdokia stąd nie odejdzie, nikt jej nie ruszy, tak, jak nie może ruszyć panna Sewerynka — umrze ostatnia i dopiero wtedy naprawdę nie będzie Bogudzięk.

Upewniłem się w tym jeszcze bardziej, gdy odwiedził mnie obecny właściciel, jak z rozmowy wywnioskowałem, stryjeczny brat ojca, stary pan Hieronim. Była to sama starość: sucha, dychawiczna, kaszląca, półślepa, choć pan Hieronim, jak mi się zwierzył, miał lat siedemdziesiąt jeden. Rozmowa z nim była utrud-

już o tej porze: kasztany i dzikie, polne grusze, dalej drzewa rozmaite, jak w parku bogudziękowskim, zastępujące groby z drewnianymi, pochylonymi krzyżami. Wyglądało to cmentarzysko tutaj, jak las rozrosły i silny, szumiący liśćmi, głośny zyciem ptaactwa, ich świegotem i śpiewem. Zapamiętałem to miejsce na zawsze! Wygląd grobu, najbliższego i dalszego otoczenia, utrwaliłem w zmysłach swoich tak dobrze, że czuję do dziś w palcach i na wargach chłód płyty kamiennej, gdy mi się nad nią pochylał..

Wracalem z radością do domu.

— Do domu, — mówiłem w myślach, — gdyż jestem zmęczony i chcę odpocząć. Odpoczywa się tylko w swoim domu, nigdzie indziej — w swoim domu. Przypieszałem kroku, gdyż czekał na mnie pan Sewerynek, czekało na mnie w domu coś, do czego mi było pilno, tak, jak kiedyś było tu także pilno ojcu, do siebie, do domu. Cóż to szkodzi, że go nie ma, jest jeszcze ten dom, jestem ja, ta sama ziemia, powietrze to samo, — tutejsze, „nasze“, — „nasze Bogudzięki“, jak o tym pisał ojciec do matki. I w tym liście, gdy mówił do niej „mój żalu“ podkreślał słowa, w których opowiadał, jak tutaj pusto bez niej, — „puste są nasze Bogudzięki“ — tak pisał.

Przed gankiem, tak, jak trzeba, czekał już pan Sewerynek, uśmiechnięty, przyjazny.

— Wieczera będzie podana w pokoju obok biblioteki — już niedługo.

— Dobrze, dobrze panie Sewerynku, panie administratorze.

— Przyniesie Awdokia, łóżko przygotuje, urządzi wszystko, jak należy. A gdyby pan kapitan życzył sobie jeszcze czego ode mnie, proszę powiedzieć Awdokii — ja tu mieszkam, w tym baraku, będę gotów w każdej chwili..

— Dziękuję, nic mi nie będzie potrzeba, nie będę pana trudił.

— Starsi państwo pytali o pana kapitana..

— Dobrze, zajdę później, naturalnie, że zajdę.

Zerwał się teraz wiatr, wiosenny, nagły. Zakołysał i zatrzęsł starym domem. Przy pomocy pana Sewerynka pootwie-

niona przez jego nadmierne, starcze gadulstwo, głównie o chorobach i niepewnych czasach. Był ogromnie rad, gdy go zapewniłem, że w Bogudziękach nie będzie szpitala i z tej radości wyciągnął pan Hieronim spomiędzy papierów i ksiąg, znajdujących się w szafie bibliotecnej — zakurzona butelkę.

— Jabłecznik, bogudziękowski jabłecznik panie doktorze, — chwalił wino pan Hieronim.

Wino było cierpkie, w smaku przykre, lecz mocne w działaniu, o czym pomyślałem później w nocy, gdy w skutek nowych przeżyć, jakie miałem, straciłem w jakiejś chwili poczucie rzeczywistości i nie wiedziałem, czy to, co mnie spotyka jest prawdą, lub tylko wyobrażeniem jakichś upragnionych faktów, czy też działaniem owego wina. Bardzo słabo pamiętam dziś sylwetkę pana Hieronima — nikłą, bez wyrazu, obcą w tamtym świecie bogudziękowskim. Zapamiętałem tylko dobrze nasze pożegnanie. Pan Hieronim, odwracając się od drzwi — powiedział tego wieczoru:

— To dziwne, że dopiero teraz uświadomiłem sobie kogo mi pan doktor przypomina... z głosu oczywiście, bo rysów pana nie mogę już wyraźnie dojrzeć.

— Kogóż zatem?

— Mego brata stryjecznego. Zupełnie ten sam głos, pamiętam go dobrze, choć to już minęło trzydzieści osiem lat od śmierci Pawła.

— Ja często, proszę pana, kogoś ludziom przypominam. Jeśli nie z ruchów, to z oczu, z nosa, lub, jak teraz z głosu — powiedziałem szorstko.

— Pana doktora to pewnie gniewa, ale dla mnie było bardzo miłe to stwierdzenie.

— Dla mnie także! — powiedziałem zbyt głośno i nienaturalnie.

Po wyjściu pana Hieronima wiedziałem, że nikt mi już nie przeszkodzi i że będę sam, czego już bardzo pragnąłem. W całym domu, choć zewsząd odzywały się jakieś głosy, trzaski, głównie nieustanny świst wiatru — była jednak głęboka cisza. Można było odpocząć w niej, prawdziwie, za całą przeszłość, zginąć zupełnie w tym bezpiecznym miejscu i wreszcie nabyć się w domu za wszystkich jego brak. Odtąd, choć tak upłynęło niewiele czasu, zawsze, gdy pragnę odpoczynku prawdziwego — przenoszę się myślą do tamtej chwili i utrwalone wówczas w mej pamięci tamto poczucie szczęścia wraca do mnie wiernie. Jestem pewien, że będę umierał szczęśliwy, gdyż tamta noc w Bogudziękach spłynie na mnie wcześniej, niż śmierć i będę miał pewność, nie tylko złudzenie, że umieram w domu, w Bogudziękach tak, jak ojciec. Gdziekolwiek by to było w rzeczywistości — nastąpi to tylko tam, w pokoju bibliotecznym, na sofie, usłanej przez Awdokię, jedyną istotą, której posłuszne są rzeczy, dla innych martwe i bez duszy.

Tej nocy, złożonej z ciszy i rozszalałego wiatru, poczułem się naraz poza czasem i poza przestrzenią, tak, jakbym istniał w nowej i nieznannej mi formie. Wszystko minone skupiło się, jak w soczewce w tej jednej nocy. Wydawało mi się, że łatwo mogę odnaleźć z przeszłości to, co w niej jest zapomniane, utracone, a co tylko teraz, raz jeden, może mi się ujawnić. Nigdy przedtem, ani potem nie miałem tego poczucia, że widzę siebie tak wyraźnie, chociaż patrzę z dużego oddalenia, spoza czasu.

Było już chyba bardzo późno, gdy stała się ta rzecz niewiarygodna, niemożliwa dziś do zrozumienia, dlaczego naraz podniosłem się z fotela i poszedłem do szafy bibliotecznej, jednej z wielu, lecz tej właśnie, nie innej. Wiedziałem, że coś tutaj znajdę dla siebie. Nie szukałem zbyt długo. Spoza papierów i torb z nasionami

wyciągnąłem dużą księgę, tak nieomylnie, jakbym niedawno ją tam położył. Nie wiem do dziś, jak to się stało. Tytuł przeczytałem później, gdy miałem już ją na kolanach: — „Księga narodzin i śmierci“.

Czytałem na którejś stronie: „Rok 1738 Bogusław Józef Andrzej zrodził syna w dzień św. Franciszka, za panowania Jego Królewskiej Mości Króla Augusta III z domu Sasów i na chrzcie dano imiona temu synowi piętemu z liczby 8-rga dzieci: Franciszek Bogusław Andrzej. Boże, miej go w opiece i całe potomstwo moje — Amen“. Tuż pod tą datą była inna notatka: „Rok 1740. W dniu św. Heleny zmarła Anna Katarzyna, córka nasza. Zmarła na duszność piersiową, przed świtem, przytomna, pojednana z Bogiem, opatrzona Sakramentami. Wieczne odpoczywanie dla niej y niech się dzieje Twoja wola Panie“.

Przerzucałem pośpiesznie dalsze karty księgi. Był widać od początku ustalony tutaj schemat notowanych wydarzeń, gdyż wiadomości były krótkie, rzeczowe, utrzymane w stylu biblijnym, hieratycznym. Powtarzało się ciągle, jak w znanej Ewangelii. Czytałem dalej: „Piotr Józef Klemens zrodził córkę Barbarę Klementynę“ — Adam Wojciech Grzegorz zrodził syna Jana Stefana Tadeusza. Umarł Jan Henryk Teodor syn Piotra Jana Marka“.

„Umarły jednej nocy bliźnięta, zrodzone przez Damiana Władysława Piotra. Na ostatniej z zapisanych stron była notatka o ojcu: „Rok 1871. Paweł Wacław Marek zrodził syna w dniu świętych Apostołów Piotra y Pawła y na chrzcie nadano imiona synowi temu: Paweł Marek Jan. Boże, uchwaj syna jedynego y błogosław płodności mojej krwi. — Amen“.

Pod tą notatką szerokim pismem, przez całą stronę ciągnął się napis: „Rok 1901. Podobało się Panu zabrać nam syna Pawła Marka Jana w dniu 17-ym miesiąca kwietnia“. Potem była wiadomość o śmierci Agnieszki Heleny Julii, matki ojca i niżej pan Hieronim zanotował śmierć Pawła Wacława Marka — ale już bez żadnych zwrotów do Boga. Sucho, jak w zwykłej kronice.

Pamiętam dobrze, że długo nie mogłem myśleć o niczym, gdyż przeszkadzały mi te imiona, ich ogromne ilości — potrójne, a nawet poczwórne przy każdym osobniku, który się rodził lub umierał. Miałem uczucie, jakbym powtarzając w myśli ich imiona, ścigał tu wszystkich, umarłych już, do Bogudzięk, na swoisty obrzęd. Te imiona i daty obok nich tworzyły coś nierozzerwalnego, jakąś odrębną całość, trwanie ponad czasem, choć czas tych ludzi dawno minął. Została po nich długa historia dat i faktów tylko dwójakiego rodzaju: urodzenia lub śmierci. To, co się zawierało pomiędzy tymi granicami, nie miało śladu w księdze, gdyż jej przeznaczenie było ściśle ograniczone do samej wymowy dat, nie więcej. Poczułem się wtedy, jak natrętny, obcy przybysz, wydzielony z tego zamkniętego kręgu, jakimś tajemnym znakiem tej księgi — patetycznej i surowej. Tak, jakbym nie istniał prawdziwie i nigdy się nie urodził. To poczucie widocznie sprawiło, że wydawało mi się, iż ludzie, których kochałem i ci, którzy jak matka lub Krzysztof umarli — to były istnienia nierzeczywiste, a ja sam jestem poza własnym czasem, zgubionym teraz, niemożliwym do odnalezienia.

Lecz mimo to, ile razy wracam myślą do tej nocy w Bogudziękach, wiem dobrze, że tylko wtedy, w jakiś swoisty sposób w łączności z imionami przodków ojca przeżyłem prawdziwie, po raz pierwszy, całe moje życie.

Jerzy Zawieyski.

Witold Bienkowski

## Książka zrodzona z pomyłki

W twórczości Poli Gojawicyńskiej jej więzienna „powieść“ z Pawiaaka p. t. „Krata“ jest złą pozycją. Złą społecznie i bardzo słabą, jako osiągnięcie twórcze. Wewnętrzna pasja pisarki, tej samej, która w „Dziewczętach z Nowolipiek“ wydobyla piękną prawdę ogromnej skali przeżyć artystycznych — została zastąpiona w „Kracie“ reportażowym wysiłkiem obserwatora z zewnątrz.

W osiągnięciach artystycznych Gojawicyńskiej przywykliśmy poszukiwać prawdy w jej sensie bezwzględny i pełny. Sama nas nauczyła wnikać w najtajniej-

Polu Gojawicyńska. Krata. Powieść. Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik“. 1945. Str. 207.

sze przeżycia, okrucy przeżyć czyniła ważnymi, a z drobiazgów — małych i jakoby banalnych drobiazgów — budowała prawdziwie odczute radości i tragedie swych bohaterów.

Jeśli przyjąć, że „Krata“ jest świadomym dziełem autorki „Dziewczęta“ i „Rajskiej Jabłoni“ — należy uwierzyć, że jest to powieść „prawdziwa“. I wówczas ostatnie strony powieści wytłumaczają wszystko. Uwierzmy, że autorka pisząc swe dzieło nie wyszła z okresu załamania psychicznego, że tworząc, czuła się „tak jakby zabito w niej instynkt życia“, że „nie miała już łez, nie odczuwała już piękna tej nocy ani uroku światła, ani rozległości nieba“. Ze „czuła, iż jest okaleczona, zniweczona, ograbiona z wiary“.

I pewnie dlatego zabrakło w „Kracie“ pasji, zabrakło nawet obiektywnej i bezwzględnej prawdy. Nie tej osobistej, ale tej na miarę tematu, na miarę obowiązku całkowitego i bez reszty uczestniczenia w życiu opisywanego środowiska.

Powieściopisarzowi wolno oderwać się od zdarzeń rzeczywistych, do niego należy przecież to cudowne prawo ożywiania własnych fantastycznych wyobrażeń, zmuszania swym pisarskim talentem czytelnika, aby uwierzył w prawdziwość postaci i zdarzeń, powstałych z twórczego natchnienia i fantazji pisarza. I nie dlatego „Krata“ Gojawicyńskiej jest złą pozycją jej twórczości, iż nie jest dokumentem prawdy. Jest nią dlatego, że własną fikcją artystyczną Gojawicyńska opiera w „Kracie“ na środowisku istniejącym rzeczywistości i historycznie, że jej bohaterowie literaccy powstają z ludzi żywych imieniem i nazwiskiem, że nie przeżyła całkowicie i wszechstronnie prawdy Pawiaaka, że — krótko mówiąc — nie dorosła do tematu.

Może się wydawać, że Gojawicyńska lękała się tematu i świadomie usiłowała zatrzeć ślady autentyzmu powieści. Zrobiła to źle. Bo w bohaterach „Kraty“ ten, co przeżył Pawiak, zbyt dobrze poznaje swych towarzyszy i niemieckich „znajomych“. Wie, że Selba Gojawicyńskiej, to Zofia Praussowa, że Joanna to Jadwiga Jędrzejowska, że wachmeisterka Szulc to Stalska, że Schenbach to Bürkl, a Hinz to Krüger. Poznaje zniekształcone przez Gojawicyńską sytuacje, nie jest mu obca ani pralnia, choć Gojawicyńska zmienia jej położenie przez literacko potrzebny efekt oglądania ghetta z jej okien, ani kancelaria, ani tajemne kontakty w ustępie.

Czytelniczka „Kraty“, ta która przeżyła „Serbię“, oburza się na nazwanie „Kraty“ powieścią. Żąda prawdy, dokumentu, autentyzmu, gdyż przeżycia więzienne tysięcy Polaków są zbyt świeże, aby pod słowem „Pawiaak“ czy „Serbia“ wolno było podstawić literacką fikcję, lub — gorzej — pozwalać sobie na zniekształcanie prawdy.

Byłe więziarki „Serbii“ oburza np. fakt, że Gojawicyńska pisząc o „Pani

Jan Dobraczyński

## Nadzieje wśród nocy\*)

Z czterech opowiadań, które się składają na treść książki, opowiadanie „Przed sądem“ poznałem przed kilku laty. Chyba w 1941 r. trafiłem na pewne czcigodne zebranie konspiracyjne, które się odbywało w starym, historycznymi obrazami zawieszonym salonie na Czackiego. Pamiętam — lampa wisiała nisko, oświetlając stół. Nasze postacie ginęły w mroku. Kolejno czytaliśmy małe studium Walldorfa, kilka wierszy Miłozza, wreszcie opowiadanie. Mnie przypadło w roli, abym je czytał. Nie wiedziałem, że mam przed sobą rzecz Andrzejewskiego. Ale skorom opowiadanie przeczytał, zrodziło się we mnie odrazu przekonanie, że nikt inny, tylko Andrzejewski musiał je napisać.

Andrzejewskiego znam dobrze z jego twórczości. Dziś, gdy zabrakło spalonej biblioteki, nie wywołam już może z pamięci „Drogę nieuniknioną“, ani „Ładu serca“. Natomiast pamiętam świetnie, swoisty klimat obu książek. Można by go określić krótko przymiotnikiem: mroczny, bez zresztą jakiegokolwiek arriere pensee. Noc jest ciem, — ale i treścią utworów Andrzejewskiego. Podobnie zresztą jest ona ciem i treścią utworów Bernanora. Tylko, że gdy u autora „Sous le soleil de Satan“ jest to noc burzliwa, nasycona wilgocią, pochylona nad tajemniczą głębią stawu, to u Andrzejewskiego mamy noc parną, duszną, naładowaną grozą czegoś, co idzie, co się zbliża, co za chwilę nas ogarnie — ale tymczasem pozostaje jeszcze w mroku i w ukryciu.

To taka właśnie noc rozpięta jest „ponad wszystkim“ w ostatniej książce Andrzejewskiego. W opowiadaniu „Przed sądem“ nie czujemy październikowego chłodu. Noc wydaje się nam parną, tak jest sprężona oczekiwaniem na to, co się stanie. Opisowy watek nie jest tutaj niewątpliwie zwykłym, a w każdym razie nie jest w utworze sprawą najważniejszą. Problemem — u Andrzejewskiego nie sposób nie szukać problemu — wydaje się człowiek, zanurzony w głąb nocy cierpienia. Autor patrzy na niego wzrokiem nie zawsze dostatecznie litosiwym; czasami spojrzenie nabiera tonów sarkazmu i poczyna przypominać sposób patrzenia — tak charakterystyczny dla pokolenia, na życie, jako na „niesamowitą groteskę“ z którego wyrastali Baczyński, Gajcy, Trzebiński, czy Stroński.

Ale Andrzejewskiego „Voyage au bout de la nuit“ wnosi inne tony niż powieść Celiné'a — przetkana jest bowiem nadzieją światu. Słowo „nadzieja“ jest słowem, które brzmi w każdym z opowiadań Andrzejewskiego. Czymżeż się jednak ona zawiera? I gdzie należy jej szukać? Samo słowo „nadzieja“ jest pojęciem mało sprecyzowanym. U Andrzejewskiego wyrasta ona z pragnienia.

„...aby każde cierpienie, każdy ból, każdy strzęp udręczonych myśli tych ludzi, kilku tysiącami zalegających plac pod nocą, ocalały od zniszczenia i zagłady, i chociaż innym ludziom nie wiadome, a przez samych ponizonych zapomniane być może w przeszłości trwały jednak wiecznie, wymowniejsze od chwili swego istnienia, głoszące swia

\*) Jerzy Andrzejewski. „Noc“. nowele. wyd. i. „Czytelnik“. Warszawa 1945. str. 219, cena 140. — zł.

Uli“, jako o ustosunkowanej wśród Niemców więziarce, patronującej tajnym spotkaniom i rozmowom więźniarek „Serbii“ — odtwarza w sposób zniekształcony ordynarną postać Wandy Waclawiak, więźnia niepolitycznego, ćwierćinteligentki, byłej właścicielki domu publicznego, informującej towarzyski, że „w swych salonach ma porcelanowego pana we fraku i panie w kreolinach“.

Ale nie o to chodzi. Nie dla kilku tyśięcy byłych więźniów „Serbii“ została napisana „Krata“. Gojawicyńska napisała swą powieść dla Polski. Po prostu dla Polski, gdyż jako pierwsza z prawdziwych utalentowanych pisarek dotknęła tematu, będącego własnością Polski.

I dopiero tutaj zaczyna się prawdziwa pomyłka napisania tej książki. Można bowiem pominąć zniekształcenia, można pominąć brak autentyzmu, można darować ułamkowe dotknięcie i cząstkowe wydobycie cech ludzi rzeczywiste żywych. Nie można bez protestu przyjąć klimatu książki. Klimat ten nie odtwarza prawdziwie klimatu „Serbii“ i Pawiaaka. Jest klimatem dusznej, zamkniętej celi więziennej, klimatem zakończonych spraw ludzkich, klimatem beznadziejności, lęku i załamania. Nie zobaczyła i nie odczuła Gojawicyńska wszystkiego. Nie widziała na Pawiaaku pracy twórczej, nie przeczuła, że dla wielu byłych więźniarek „Serbii“ wspomnienie więzienne pozostanie najświętszym i radosnym na całe życie.

Pawiaak był najtrudniejszą szkołą. Egzamin końcowy nie wypadł jednak tak, jak go w ostatnich stronicach „Kraty“ przedstawia Gojawicyńska. Nie trzeba żadnego patosu, ani zakłamania, ani żadnej propagandy, aby uczciwie napisać, że końcowym rezultatem przeżycia więźnia Pawiaaka nie była beznadziejna refleksja Gojawicyńskiej: — Och Niemcy!... Co oni z nami zrobili, co oni z nami zrobili!“. Z takiej refleksji załamanej więźnia nie wyrasta nigdy przyszłość.

Książka jest pomyłką. Pomyłką dlatego, że Gojawicyńska niedostatecznie zdała sobie sprawę z odpowiedzialności za śmiałość dotknięcia tematu Pawiaaka.

dectwo samego życia i spełniających się losów człowieka...“.

Tak mówi autor w najlepszym z całego zbioru opowiadaniu „Ape!“. Cóż to za świetny obraz Oświęcimia, napisany przez człowieka, który sam tam nie był.

Dla Andrzejewskiego cierpienie ma swój sens. Katolicka Anna nie umie wprawdzie na pytanie: co jest tym sensem — odpowiedzieć, ale Anna zjawia się już w trzecim z kolei opowiadaniu p. t. „Wielki Tydzień“, posiadającym zasadniczo odmienny klimat niż dwa poprzednie opowiadania. Ich treścią jest próba znalezienia wyjścia z nocy i przewalczanie bezsensowności cierpienia. Dokonać się to może na płaszczyźnie braterstwa. Autor powiada:

„...w to skamieniałe napięcie przerażenia wnikała myśl, że gdyby mógł teraz znaleźć rękę przyjaznego człowieka, byłby uratowany. Już nie śmierć wydawała mu się straszna, ale samotność wobec niej...“.

Ręka przyjaznego człowieka! Karol dotyka Piotra, Trojanowski — Karbowski, nawet Schröder — Pawłowski. Chodzi o drobiazg — o materialny znak bliskości. Ale choć Andrzejewski wprowadza wszystko do dotknięcia dłoni, sens tego gestu jest znacznie głębszy, niż by się to wydawać mogło. Chodzi o przełamanie urazu, że „nikt mnie nie kocha!...“ — na co się skarży Pawłowski, i że dla żadnej kobiety, ani „dla żadnego mężczyzny nie jestem niezbędny“ — jak powiedział Piotr. Chodzi bowiem o to, aby być dla kogoś, aby być drugiemu potrzebnym. Wprawdzie sens tej zasady odwraca Karol, gdy mówi: „to jest ważne być niezbędnym dla jakiegoś człowieka. Ale może jeszcze więcej znaczy, gdy ktoś drugi jest niezbędny“. Tego jednak nie pojmujemy i słowa te pozostają słowami. Ciepła rzeczywistości tkwi w tym, by nie zerwać więzi niewidzialnej „pomiędzy ponizieniem i pogardą“. Wtedy bowiem, dopiero gdy przyjmujemy człowieka ze wszystkim, co reprezentuje, wtedy gdy potrafimy czuć braterstwo mocniej niż nienawiść, wolno nam nienawiścią pogardzić i wolno Häftlingowi Trojanowskiemu potępić Dietlicków i Kreuzmanów. Pisze Andrzejewski:

„...czu! tylko bardzo mgliście i jak gdyby myślał nie sobą, lecz kimś o wiele przerażającym jego samego, że chociaż nienawidzi, tych ludzi opętanych złem, jest w istocie bardziej z nimi związany, niż z cierpiącymi współtowarzyszami niedoli... Cóż mnie z nimi łączy? Myślak... Potępiam ich... I po chwili: może za tę cenę wolno potępiać?...“.

Póki tak tę rzecz ujmuję, Andrzejewski jest chrześcijaninem, czy ma choć się do tego przyznać, czy też nie. Trzeba tylko mieć odwagę — a autor „Nocy“ ją posiada — aby postawić problem organicznej struktury ludzkości tak wyraźnie i jasno, jak tego mamy obraz w dwóch pierwszych opowiadaniach. Inaczej rzecz się ma jednak w opowiadaniu trzecim.

„Wielki Tydzień“ to historia paru makabrycznych dni Warszawy, w ciągu których umierało „ghetto“. Andrzejewski ze swego podziemia — tak często służącego za schronienie ukłonięciem z ghetta — patrzy na rudą chmurę dymu, wiszącą nad miastem, czuł niewąt-

pliwie to samo, co czuliśmy wówczas wszyscy — grzęz. Słup ognia, bijący w górę, rwane strzały, wybuchy, krzyki — to wszystko co widzieliśmy i słyszeliśmy, mieszając pod samą niemal ścianą „ghetta“, doczołgać musiało stugębną famą na Plac Konfederacji. Bębniły kule po placu Krasieńskich, słychać było gardłowe wrzaski żołnierzy, kryjących się wśród bud i urządzeń lunaparku; w kościołach tymczasem budowano groby... Wiem — padało nieraz w stronę społeczeństwa polskiego oskarżenie, że mogło być swym codziennym życiem, gdy o kilkadziesiąt metrów dalej umierało „ghetto“. Byli tacy, podobnie jak Andrzejewski, mówili: „mało kto żydów żałował. Lud cieszył się, że zniestanawidzeń Niemcy mają nowy kłopot. W odczuciu przeciętnego człowieka z ulicy sam fakt walki z garstką samotnych żydów, ośmieszając zwycięskich okupantów“.

Sprawa jednak nie jest prosta i zbyt prymitywnie ją pojmują. Juliusz Malecki uważając, że jedynym jej rozwiązaniem winien był być demonstracyjny udział grupki partyzantów polskich w walkach w „ghetto“. Niestety — wydaje się, że równie prymitywnie ujmują sprawę sam Andrzejewski. Treść opowiadania mamy taką: Irena Lilieu, ostatni potomek spolszczonej, a może raczej skosmopolityzowanej rodziny żydowskiej, pod wpływem spotykających ją prześladowań, ciągłej ucieczki i wynikającego stąd przedenerowania, poczuła się znowu żydówką i pełna gniewu dla polskiego społeczeństwa, odeszła do płonącego „ghetta“. Konstrukcje psychologiczne bez zarzutu. Irenę ukrywa w swym domu Malecki, pomimo strachu przed groźącym niebezpieczeństwem. Ten strach Maleckiego jest zjawiskiem całkowicie zrozumiałym i ze stanowiska postawy moralnej właśnie jego pokonanie mogło być ciekawym wejściem w wcale nie rzadki wypadek wewnętrznych zmagania człowieka w tragicznym okresie „Temps du mépris“. Andrzejewski tego nie robi. Jan Malecki nabiera, w miarę coraz więcej ogarniającego go strachu, aspektu człowieka, nieomal gotowego gotowego popełnić każdą zbrodnię. Postać Malewskiego poczyna niepokoić. Coraz wyraźniej zarysowuje się konflikt między nim a żoną. Wreszcie nadchodzi katastrofa: Malecki ginie z rąk wykonawców wyroku podziemnego trybunału.

Cały ten fragment, dopisany i wmontowany przez Andrzejewskiego już po powstaniu właściwej noweli — budzić musi zastrzeżenia. Artystycznie gwałtowna śmierć Maleckiego jest zupełnie niepotrzebna. Tragedia, dokonująca się za murami „ghetta“ jest dostatecznie w swej groźbie wyrażona, aby potrzeba było ją wzmacniać obrazem — może i realnym — ale w gruncie rzeczy doczepionym do zasadniczego wątku noweli bez żadnego przekonywującego powodu. Czy dlatego było Andrzejewskiemu to wydarzenie potrzebne, by w nim wypowiedzieć swoją niechęć do „oenerowców“? Jeżeli tak, to powinien był swój pogląd wypowiedzieć niezależnie od noweli. W noweli bowiem cała historia mordu na Maleckim pachnie tylko naławnie robioną propagandą.

O ile jednak ta dygresja jest fragmentem mocno chybionym, o tyle narastający konflikt pomiędzy Ireną a otaczającymi ją ludźmi, można uważać za duże osiągnięcie artystyczne. Rozumiemy Irenę. Jej bunt wobec ludzi, którzy nawet pomagając jej, czują dla niej niechęć — jest zupełnie usprawiedliwiony. Nie możemy żądać od Ireny bohaterskiego zrozumienia dla faktu, że jedynymi uczuciami, które są naprawdę coś warte, są uczucia nakazane. Przemoczenie niechęci w ogniu walki, lub w obliczu wspólnego wroga, jest czymś, na czym budować można trwałe. Natomiast rzecz się ma inaczej z miłosciami „sympatii“.

Ale tego Irena — zwłaszcza w stanie przeżywanego podniecenia — zrozumieć nie potrafi. Może i to trzeba powiedzieć na jej usprawiedliwienie, że poza przemaganiem uczuć Malewskiego, — który zresztą z taką jest niechęcią potraktowany przez autora, że procesu tego nawet sam Andrzejewski zauważyć nie chce u innych przedstawicieli środowiska spotykamy raczej tchórzliwą obojętność, niż jakikolwiek zdecydowany wyraz. Anna jest bez oblicza wobec życia, martwa, zagubiona, niekonkretna. Zamojski — jeszcze bardziej nijaki, Piotrowski natomiast zupełnie rozumiały, tylko, że ich stosunek do Ireny wyrasta z uczuć dla zasadniczej sprawy konfliktu narodowościowego — zupełnie pobocznych. Ani bowiem namiętność Piotrowskiego do pięknej żydówki, ani też zazdrość podstarzałej kobiety o młodego męża, nie są niczym związanym z tragedią „ghetta“. — Dokonują się ot tak, na marginesie tamtej sprawy. Niewątpliwie Piotrowski usiłowałby zniewolić podobającą mu się kobietę, którą by mógł taką lub inną sytuacją szantażować.

Naturalnie, czytelnik nie ma prawa domagać się od pisarza, aby opisywał właśnie to, co czytelnika ciekawi. Artysta tworzy życie — jeśli tylko to życie jest prawdziwe — pretensje nasze dalej sięgać nie powinny.

Tak, ale pisarz musi swą postawę wyraźnie określić. Może temat zwęzić lub rozszerzyć. Jeżeli chodzi o Andrzejewskiego — to takimi stawkami jak śmiercią Malewskiego, jak wcześniejsza rozmowa tegoż Malewskiego w bramie, jak ukazaniem postaci Julka wprowadzającego czytelnika w krąg bardzo zasadniczej problematyki. I potem już nie ma wyjścia: musi postawiony problem rozwiązać.

Możemy mieć wówczas słuszną pretensję do Andrzejewskiego, że problemu nie rozwiązał. Oblicza społeczeństwa polskiego na tle krwawych wydarzeń wielkiego tygodnia 1943 r. nie da się sprowadzić do wspólnych rysów Anny, Jana, Zamojskiego i Piotrowskich, nawet gdy do nich dodamy donkiszotowego Julka. Było by rzeczą dziwną chcieć twierdzić, że społeczeństwo, które wygrało najstraszniejszą wojnę terroru, składało się z ludzi bez oblicza.

Noc Andrzejewskiego w noweli „Wielki Tydzień“ poczyna nieoczekiwanie sięgać do samego dna. To nie jest już noc, w której świeci nadzieja. Uzupełnienie nastroju znajdujemy w szkicu „Warszawianka“:

„Jaką mieć nadzieję? — myślał człowiek, który stracił wszystkich bliskich“.

Jan Białostocki

## Pochwała polskiej grafiki użytkowej

Gdy przypominamy sobie przedwojenną ulicę, sklep, witrynę, gdy przeglądamy czasopisma z okresu 20-lecia niepodległości, gdy stykamy się jeszcze z książką, której typ został ukształtowany naszą produkcją wydawniczą w tym czasie — dochodzimy znowu do potwierdzeń dawnych dodatków ocen naszej grafiki użytkowej. Zdaje się nie ulegać wątpliwości, że w tym zakresie, podobnie zresztą jak w zakresie grafiki artystycznej,



E. Manteuffel. Ilustr. do książki „Dudelsack, Schalmel und Geige“.

a szczególnie drzeworytu, sztuka polska wysunęła się na jedno z czołowych, jeśli nie na wręcz pierwsze miejsce. Zdumia możemy patrzeć na osiągnięcia nasze w tej dziedzinie i śmiało konfrontować je z zachodem i wschodem. Stanowisko polskich artystów jest oryginalne i przodujące.

Gdy spojrzeć uważnie na dzieje sztuk plastycznych, okresy rozkwitu, ukazują się nam ściśle związane z momentami uzależnienia twórczości artystycznej od celów pozaestetycznych; przekonamy się, że czasy hołdujące hasłu samowystarczalności sztuki doprowadziły do zerwania jej kontaktu z szeroką rzeszą konsumentów; zobaczymy, że celowość pozaestetyczna jest koniecznym elementem rozwoju. Nie twierdzę, że cele pozaestetyczne powodują artystę, bywa i tak, wnoszę jednak z obserwacji tyle tylko, że cele te zwiążują sztukę z życiem, uzasadniają jej egzystencję i dają podstawy materialne. Nie chcę bynajmniej utrzymywać, że „byt warunkuje świadomość“ zawsze i wszędzie — bywa niekiedy wielka sztuka zupełnie „nie na czasie“, jak nietscheańskie rozważania, oderwana od życia i warunków ekonomicznych. Nie przesądzam.

Notuję tylko fakty: że romańszczyzna i gotyk chwaliły programowo Boga, co uzasadniało wogóle istnienie sztuki w tym czasie, aczkolwiek w ramach tych intencji realizowały też rozmaite inne, czy to już artystyczne zamierzenia, (Hui-zinga w „Sasienu średniowiecza“ utrzymuje, że średniowiecze znało tylko sztukę użytkową); że Michał Anioł i Rafael byli też użytkowymi malarzami — reklamowali idee, które Rzym przez ich obrazy światu za wzór i cel ukazywał; David pracował pierw dla rewolucji, później dla cesarstwa; malarstwo portretowe, czy holenderskie, martwe natury wynikały z potrzeb życia i konsumenta. Były sztuką użytkową. Wiemy, jak często wielcy artyści przeciwstawiają się opiniom i nastrojom współczesnych, ale z drugiej strony owe punkty zbieżności linii sztuki z linią zapotrzebowania artystycznego, popytu z podażą dają okresy rozkwitu — wtedy społeczeństwo daje sztuce podstawę.

Od czasu l'art pour l'art malarstwo oderwało się od życia — pozycja jego teraz chwiejna i niepewna: czeka łaski stypendiów, czy zakupów, opieki i hodowania, jak cenna naukowca, lecz właściwie praktycznie zbędna roślinina. Zresztą znowu ekonomiczne podłoże i koszt obrazu gra swoją rolę.

Nadszedł czas grafiki. Nie jest już zadaniem sztuki obsługiwanie tylko książek, czy kleru, mecenasów, czy bogatych kupców — grafika więc przejmując przewodny głos, ona będzie sztuką odpowiednią dla okresu. Staje się przeznaczeniem tworu działalności artystycznej pociągając najszerzej masy. Ma być on ozdoba, połączona, reklama. Wcale to sztuce nie ubliża, nie zmienia istoty twórczości z ducha. Można by powtórzyć za T. Cieślowskim

— Jak żyć? Jak zacząć żyć na nowo?

Nie ma nadziei. Miał ją nawet tak bar-dzo winny Piotr. Miał ją zanurzony w głąb bezlitosnej otchłani „lagru“, Trojanski. Nie ma jej Irena. Nie ma jej — i to jest przerażające — jadący na ostatnie już wygnanie tłum warszawian. Lecz zdaje się zamykać w życiu bez nadziei lub też w nadziei — śmierci...

Jan Dobraczyński

Autorów i Wydawców, którym zależy na umieszczeniu recenzji w naszym śmie, prosimy o nadsyłanie egzemplarzy recenzyjnych.

(synem) wypowiedziane niegdyś przezeń porównanie, że (toutes proportions gardées) jak Levitt-Him reklamują mydło, tak Michał Anioł reklamował królestwo niebieskie.

Bez wątpienia trudno odmówić, w pełnym przynajmniej rozumieniu, słusności Ruskinowi, oceniającemu dzieło sztuki ze względu na doniosłość tematu, ale też pamiętajmy, że — jak pisał M. Wallis-Walfisz — najpiękniejsze cele nie uratują dzieła estetyczne nieudanego, natomiast utwór, posiadający wartości: bezpośrednio — estetyczne, może zyskać, jeśli jest wyrazem cennej idei, lub głosi propagandę doniosłych prawd. To też grafika użytkowa jest „lakmusem“ artysty inteligentnego. I tym bardziej znamienici ci, którzy przez ucho igielne celowości, propagandy, techniki i zwięzłości umieją przejść krokiem pełnym swobody i czaru, stając się goetheańskimi mistrzami — pogromcami trudności.

Widzieliśmy, jak grafika po pierwszej wojnie światowej dostosowywała się w swym błyskawicznym rozwoju do wymagań XX-wiecznej propagandy.

Max Dvorak w pracy o Schongauerze (Kunstgeschichte als Geistesgeschichte) odnosi rozwój niemieckiego drzeworytu w końcu średniowiecza do zbieżności nowopowstałej techniki, pozwalającej na wielokrotne powielanie, powszechnie u-dostępniące dzieła sztuki i „ogólniej przemiany, jaka dokonała się w niemieckim życiu religijnym i której wynikiem była powszechna potrzeba osobistego, religijnego wykształcenia i uwnętrznienia“.

Podobnie w wieku XX technicznymi okolicznościami — rozwojowi systemów reprodukcyjnych, rozwojowi technik chemigraficznych, które uwolniły grafikę artystyczną od wiążących ją dotąd zadań interpretacyjnego oddawania dzieł malar-skich — odpowiedziała potrzeba, odczuwana przez ówczesnych moźnych: kapitał, przemysł i państwo — znalezienia środka artystycznego, któryby sięgnął jak najszerszej i jak najskuteczniej. O roli sztuki, a szczególnie właśnie grafiki, w dążeniu nowoczesnej planowej gospodarki państwowej do zwycięstwa w walce o duszę człowieka przez opanowanie jego wyobraźni i narzucenie mu programowych przedstawień, mówił w swym inauguracyjnym wykładzie w r. 1937 Stanisław O. Chrostowski. Istotnie, mogliśmy obserwować wielką rolę grafiki w metodach rządzenia duszami przedwzrostowych totalizujących i wręcz totalistycznych ustrojów. Nie tylko jednak państwo, również przemysł potrzebuje sprawnego organu reklamowego — na naszym gruncie byliśmy świadkami wspaniałego rozwoju prospektu, plakatu i dekoracji wystawowej. Wreszcie przemysł wydawniczy znajduje najlepszego sojusznika w metier, dawno już z nim spokrewnionym.

Wszakże stosunki tych dwóch sprzymierzeńców, wydawcy i grafika, rzadko w okresie 20-lecia charakteryzowała współpraca, wypływająca z natury książki. Stosunki na naszym gruncie różniły się jednak znacznie od zachodnich. Po za drobnymi wyjątkami, nie widywaliśmy wydawnictw bibliofilskich. Grafik nie brał zazwyczaj udziału w wewnętrznym, organicznym kształtowaniu książki. Rysował obwolucie, która przydana broszurowanemu, czy oprawnemu egzemplarzowi, zdołała go jak plakat reklamowy, nie wiążący się jednak przeważnie z typograficznym charakterem książki. Zauważył to w swoim czasie Czesław Smolik w artykule, omawiającym twórczość atelier „Mewa“ w jednym z numerów przedwojennych „Arkad“. I istotnie, książkę typową „Roju“, Przeworskiego, czy Piomienia, najbardziej płodnych wydawnictw, zdołała tylko obwolucie, o wdzięku i finezji rzadko spotykanej, wszelako jakże daleko było naszej produkcji wydawniczej do typograficznego wykintu francuskich publikacji. Ale to, jak słusznie pisał Smolik, nie umniejsza bynajmniej zasług polskich artystów: to, czego od nich żądano, wypełniali w sposób znakomity. Nieliczne okazje dokumentowały, że również i w innych zakresach umieliby stworzyć nowe, oryginalne i innych przewyższające dzieła — przykładem choćby, w dziedzinie produkcji bibliofilskiej, działalność typograficzna Doświadczeń Pracowni Graficznej Salezjańskiej Szkoły Rzemiosł — pracującej szlachetną, oryginalną czcionką, „antyką polską“ Półtawskiego, czy Ofi-

cyny Samuela Tyszkiewicza we Florencji, znanej w całej Europie i nie tylko w Europie, której książka o Florencji napisana, ręcznie pysznym Cochinem złożona i ręcznie również na czerpanym papierze odbita przez samego Tyszkiewicza, ilustrowana dużymi drzeworytami T. Cieślowskiego (syna), to szczytowy okaz sztuki bibliotworczej. Słabsze były, interesujące zresztą, próby oficyny warszawskiej, bite czcionką „militari“, nieczytelna i dziwnie secesyjna.

Okres rozkwitu grafiki użytkowej w Polsce uzyskuje swe największe nasilenie w latach trzydziestych. Poprzedza go jakby protorenesans bezpośrednio po pierwszej wojnie światowej: Czasy to wydawnictw „Ignisa“, „Bluszczu“, okładek Johna, Barłomiejczyka, wczesnego Gronowskiego, Kamńskiego, Półtawskiego, Toma. Dziwna jest jednolitość rysunków ówczesnych. Możemy zestawiać ich duże ilości — zawsze noszą na sobie wyraźne piętno okresu, w kresce, literactwie, zamknięciu karty ramą, ornamentem kwiatowym, kreskowo opracowanym — czuje się tam jeszcze niedawność Beardsleya i Secesji, Wyspiańskiego i Mehoffera, a zwłaszcza może Jana Bukowskiego. W typografii Łazarski i Burian noszą wysoko szlankary drukarskiej tradycji, które później trwają jeszcze w niektórych publikacjach, pochodzących z pras Krakowskiej Drukarni Narodowej.

Później następuje czas stylizacji geometryzującej, jakiś styl jazzowego, krzykłego amerykańizmu, kół, trójkątów i prostych — kina i kabaretu. Znacznie krócej trwają rządy tego stylu w granice, niż w architekturze, czy meblarstwie. Wszędzie jednak odczuwa się znużenie prymitywizmem prostych form i potrzebę urozmaicenia ich elementami dawnymi, barok i rokoko wkraczają na scenę i łączą się czasem z geometrią w harmonijnej symbiozie.

Monotonia treści i arogancka natęrczywość barw, musiały rychło ustąpić koncepcjom bardziej uduchowionym. To też widzimy, jak rodzi się dolce stil nuovo. Odrodzenie wykluwa się z geometrycznych schematów — jeszcze wczesne rysunki Manteuffla, ilustracje do książki Umiasłowskiego „Ludzie przestworzy“, to typowe okresy geometryzującej stylizacji, podobnie niektóre z pierwszych ekslibrisów Czarostowskiego (Szacno — z organami), zdradzają podobne tendencje. Cechują one również artystów, związanych ze sztuką ludową, która nie pozostała też bez wpływu na grafikę użytkową. Moment ten występuje u Skoczylasa, Stryjeńskiej, Barłomiejczyka, Tur-gielewicz, Byliny i innych.

Wreszcie w latach trzydziestych jesteśmy świadkami skryzalizowania się oryginalności pozycji, które odtąd będą przewodzić grafice użytkowej. Artystyczna bowiem od dawna ma już własne i pewne oblicze, „Ryt“ szczyty się dorobkiem wystaw, a polscy drzeworytnicy światową sławę. Trudno też rozpatrywać grafikę użytkową bez łączności z jej starszą siostrą, bo i granica, dzieląca ją od użytkowej, staje się płynna; jeśli nie tworzy ilustracji, to często zespała się z tekstem, jak w tekstach Kulisiewicza, czy utworach Cieślowskiego.

Różnorodna jest geneza naszej grafiki użytkowej w jej niewątpliwych związkach z obcymi natchnieniami i równie niewątpliwą oryginalnością własnego oblicza.



E. Manteuffel. Ilustr. do książki „Dudelsack, Schalmel und Geige“.

Zbyt może jeszcze blisko tego okresu stoimy, ażeby dać zdecydowaną diagnozę. Łączą się w dziełach naszych grafików źródła graficzne i malarzkie. Różne okresy dziejów czarno - białej sztuki tkwią w nich wyraźnie.

Jednym z najdonioślejszych natchnień jest bezwątpienia malarstwo zachodnio - europejskie na swej drodze przez impresjonizm, ekspresjonizm, futurizm, kubizm i surrealizm. Gdy oglądamy niektóre kompozycje Picassa, związanie ich ze współczesnym afiszem, zarówno Cassandra, jak polskim, np. Nowickiego i Sandeckiej, czy Piotrowskiego — jest wyraźne.

Z bezprzedmiotowego malarstwa, z jego plamy, pełnej immanentnej, czysto estetycznej uroku, pomnożonej o symbol i ekspresję, rodzi się przedziwny sztuka Levitta i Hima. Intelektualizm i wytworność plastyczna cechują tę spólkę graficzną, która jest produkującą grupą pewnego kierunku. Znajduje artystów zbliżonych, kontynuatorów i więcej lub mniej szczęśliwych naśladowców.

Dzieła Levitta i Hima charakteryzuje ustawiczne konkretyzowanie przedstawień wyobrażenia: wywoływane przez słowa tekstu, asocjacje kojarzące się z nazwą reklamowanego produktu, prymity-

wne obrazy, powstające przy nieprzenośnym rozumieniu banalnego zwrotu — oto pole działania Levitta i Hima. Ekspresjonistyczne animozowanie, swoisty, wykwinny liryzm, uroczą kolorystyką, lubująca się w subtelnych kolorach, wdzięk smiałego i schematycznego miejscami, miejscami skrajnie realistycznego rysunku — charakterystyka ich liczne prospekty produktów farmaceutycznych, plakaty, reklamy wszelkiego rodzaju, okładki i ilustracje książek (słynna „Lokomotywa“) i czasopism. A wszędzie tonacją dominującą jest nastrój zlekka żartobliwy, wyrafinowany humor intelektualistyczny, tak świetnie realizujący się w dobrze znanych fotomontażach z „Wiadomości Literackich“. Trepkowski, najbardziej zbliżony częstokroć, choć nie zawsze postępował podobną drogą; niektóre dzieła jego (plakat „Ostrożnie“) cechuje podziwu godna lapidarność, tak cenna w reklamie. Niedawny plakat tego artysty, zwiastujący przeniesienie się „Robotnika“ do Warszawy, jest świetnym okazem żywotności i nowym dowodem wdzięku omawianego stylu.

Podobny symbolizm cechował twórczość Tadeusza Piotrowskiego, który jednak różni się od poprzednio wzmiankowanych silną skłonnością do deformującej stylizacji. Łączy go to z grupą „Mewy“, atelier trojga artystów różnorodnych, a jednak dość zbliżonych, Antoniego Wajwoda, Jadwigi Hładki-Wajwodowej i Edwarda Manteuffla.

Dzieła Piotrowskiego, z których po za ogromną ilością okładek, jako najbardziej charakterystyczne można wymienić: prospekt turystyczny „Polska“, ze stylizowanymi zagrodami chłopskimi, plakat wystawy polskiej w Rapperswilu, projekt afisza wystawy paryskiej (z łukiem triumfalnym), panneau do pawilonu polskiego na wystawie w Nowym Jorku — są realizacją stylizacji deformującej perspektywicznie, usiłującej zobrazować plastyczność przedmiotów przez ustawiczne akcentowanie ich głębi mocnymi, ciemnymi podkreśleniami, pragnącej uwidocznić ich strukturę naprzekór prawom widzenia, nie pozwalającym na jej spostrzeżenie — elementy uproszczone i przesunięte względem siebie, piętrzą się, zamiast stać w płaszczyźnie jeden za drugim.

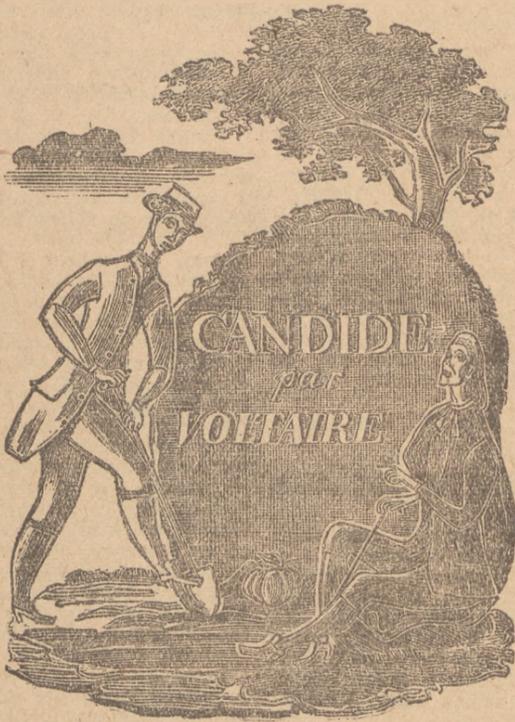
Kompozycje niezwykle zwarte, zamknięte, zharmonizowane z oryginalnym liternictwem, które niekiedy, jak w okładce do „Jezusa nieznanego“ Mereżkowskiego, stanowi właściwie, obok faktury rastrowego tła, jedyny temat kompozycji. Również wycucie dla formy historycznej łączy Piotrowskiego z grupą „Mewy“.

Edward Manteuffel skupia swą subtelną intuicją natchnienia płynące z różnorodnych źródeł i oryginalną umiejętnością syntezy tworzy z tego zasymilowanego materiału świat najzupełniej własny, indywidualny i jedyny. Liczne okładki wydawnictw Przeworskiego, Skamandra, Nike, ilustracje rysunkowe i drzeworytnicze, afisze, prospekty, etykiety, projekty dekoracji ściennych (dworzec główny i MS. Piłsudski) i znaczków pocztowych, wszystkie te dzieła noszą na sobie piętno oryginalnej, inteligentnej psychiki artysty. Czuję się w jego rysunkach gruntowną znajomość sztuki dawnej i nowej, przejście się subtelna, wykwinna stylizacja, która sprawia, że każdy utwór Manteuffla chwytą postać zastępną w pełnej ruchu, ale na moment zamarłej pozycji, niby żywej, a jednak pełnej nieratyzmu. Czuję się coś ze sztuki ludowej, coś z romanszyczyny i gotyku — najwięcej z wieku XIX. Przejrzyjmy stare „Tygodniki Ilustrowane“, „Kłosa“, dawne kalendarze, obejrzyjmy utwory „drzeworytni warszawskiej“, ksylografię Smolkowskiego, zbiór francuskiej „L'imagerie populaire“ (Duchartre i Saulnier, Paryż 25), a natrafimy na ślady, którymi wędrował duch Manteuffla, zanim stopił w sobie całe wymienione tworzywo, by wydać dzieło takie, jak „poeta“, jak „Rzym“, jak „Warszawa“, „Nike“, „pamiętnik poety“ na okładce Skamandra, czy bajeczne, przerafinowane piaskowe ilustracje do niemieckiego zbioru polskich piosenek ludowych („Duddsack, Schalmel und Geige“). Głębokie zrozumienie form architektonicznych, wycucie intelektualne, o żelaznej konsekwencji, sprawia, że gdy patrzymy na dzieła Manteuffla, wiemy, że muszą być takie — nie wiemy czasem, w czym zasada się ich doskonałość, ale czujemy, że nie można w nich zmienić ani kreski, że każda krzywa linia, każdy ślad pozornie swobodnego biegu pióra po karcie, ujęty jest w rytm wewnętrzny, który organizuje całość doskonałością schematu idealnej kompozycji.

Towarzysz Manteuffla — Antoni Wajwód, natura bardziej dekoracyjna, miłośnik asymetrycznej, wdzięcznej wykoślawionej stylizacji, form barokowego ornamentu i dekoracji, mistrz niezrównany plastyki, wykonywanej z papieru i innych materiałów nietrwałych — słomy, listew drewnianych, sznurka, blachy — umie dać w liniach swych syntetycznych, zwartych deformacji, istotę przedstawianego przedmiotu. Podobnie jak Piotrowski, akcentuje plastyczność grubymi cieniami, upraszcza, a jednocześnie lubuje się w przepychu barokowych ram, kartuszy i wstęg, liści laurowych i dębowych, kwiatów, peruk i liter. Jak Manteuffel w duchu romantyzmu i prababek — Wajwód często formuje przedmioty w duchu Ludwika XIV, często w duchu baroku, czasem bogatego klasycyzmu. Głód plastyczności prowadzi u Wajwóda do oryginalnej techniki — fotografuje swe rze-

źby z papieru w ostrym, kontrastowym oświetleniu i dorysowuje tło, lub litery. W ten sposób powstały doskonale okładki Skamandra i książek o Klaudiuszu Gravesa. Płaskość napisów wymaga jeszcze głębiej i wypukłość plastycznej dekoracji. Niewyczerpana była pomysłowość artysty, a jednocześnie coraz bardziej krystalizował się styl wspólnego atelier „Mewa“, którego trzecia udzia-

teryzować wszystkie pozycje tego bogatego i wielostronnego okresu omawianej dyscypliny artystycznej. Pominę więc drzeworytników z profesji, jak Chrostowski, Cieślewski, czy Bartłomiejczyk — ich omawiać należy raczej w związku z rozwojem grafiki artystycznej, godnej równie opracowania w monografii, która by zebrała rzadki dziś, zwłaszcza w Warszawie, materiał ilustracyjny. Nie sposób



E. Manteuffel. „Kandyd“.

łowczyni — Hładkówna rysowała ładne okładki książkowe, ilustracje do dziecięcych pisemek, wycinała ciekawe i doskonale technicznie drzeworyty.

Spadkobiercami tradycji „Mewy“ — jej smakowitej, deformującej stylizacji dla znawców byli, już za czasów okupacji, Adam Młodzianowski i Jerzy Jarnuszkiewicz, ten ostatni — mistrz ekslibristu, wykwinny drzeworytnik, wydaje się być jednym z tych, którzy położyli podwaliny pod nowy rozwój grafiki.

Trudno, w krótkim artykule, scharak-

Prof. Zygmunt Kamiński

## Jan Bułhak

(na marginesie wystawy w Muzeum Narodowym)

„Odkąd siebie pamiętam, lubiłem patrzeć na świat Boży. Odczuwałem mocno piękno przyrody mojego rodzinnego zakątka (w Nowogródzkim — strony Mickiewiczowskie — Święż i Tuhanowice, Nowogród etc.) Żyłem samotnie, nieswiadomą kontemplacją i czułem się szczęśliwy. Dzieciństwo moje — to jedno pasmo jasnych, radosnych wrażeń i wzruszeń. Prawdziwie sielskie — anielskie“.

„Gdy dorosłem i doszedłem trzydziestki, zaczęło mnie nurtować jakieś niespokojne pragnienie, zupełnie nieokreślone, w stosunku do naszego krajobrazu, to jest do wsi, domu rodzinnego, polskiego obyczaju i polskiego życia na tle przyrody, słowem do tego, co jest treścią „Pana Tadeusza“. To wszystko niknie, ginie — jak to zatrzymać? To takie swojskie, takie piękne, szkoda, żeby zginęło bez śladu...“

„Byłem bezradny, dopóki przypadek nie dał mi do ręki aparatu fotograficznego. Otrzymała go na imieniny moja żona od swej matki, a ja wraz z żoną zacząłem się bawić tym aparatem. Po roku zabawa przeistoczyła się w stałe zatrudnienie, w namiętność, w obsesję.“

„Ale szło ciężko. Rzeczy najprostsze trzeba było zdobywać ogromnymi wysiłkami, bo nie było ani ludzi, ani książek do rady. Jak w pustyni. Zaczęłem fotografować siedziby nasze i pejzaż nowogródzki. Po zdobyciu w trudzie potrzebnych wiadomości technicznych poszedłem szybciej naprzód i zacząłem doznawać zupełnie bezinteresownej rozkoszy, pasji obcowania ze światem przyrody w świetle słońca.“

„Etapy kolejne: oświetlenie, efekty światłocieniowe, brylowatość rzeczy, wymowa nieba, harmonia barw w jednobarwnej transpozycji (walory). A wreszcie — czy ja wiem — w tym wszystkim tkwiąca tajemniczo Dusza ziemi — tę przeczuwaną chciałem wydobyć i ukazać“.

Tak rozpoczyna wypowiedź o początkach swej pracy artystycznej Jan Bułhak.

Skromne, pełne prostoty słowa brują w sobie ogrom wysiłków jednostki, dążącej do zdobycia podstaw technicznych sztuki fotograficznej na ustroniu, w głąbi wiejskiej, wśród wahań i trudności, wynikających z braku pełnej świadomości artystycznej.

Ale szczęśliwe losy kierują Bułhaka do Wilna, gdzie następuje spotkanie i zbliżenie z Ferdynandem Ruszczycem, świetnym artystą-malarzem i wyjątkowo zasłużonym w dziejach Wilna miłośnikiem jego pamiętek i przeszłości.

jednak nie powiedzieć o stylu, wychodzącym z pracowni architektów (dość wspomnieć Bale Architektury) — grafików Nowickiego i Sandeckiej, Hryniewieckiego i Osieckiego i innych. Elementy ich sztuki wywodzą się, między innymi, z kreslarstwa, z cyrkla i linii, z rysunku architektonicznego, z areografu wreszcie. Oni najczęściej stosują nowoczesną technikę próżnej plamy. I u nich zresztą czuje się znajomość grafiki zachodniej z Cassandrem na czele, ale też jej przetrwanie, również elegancka stylizacja, ciekawe wpływy fotografii i kina.

A obok nich nie sposób pominąć Gronowskiego, który ewoluuje od wspomnianych czasów protorenesansu lat 20-tych przez styl geometryzujący do czasów areografu, często pod francuskim wpływem (plakat paryskiej wystawy — Warszawa). Trzeba wspomnieć o Bermanie, wielostronnym eklektyku autorze niekiedy bardzo trafnych rozwiązań w okładkach „Roju“, Sopońce, Siemiątkowskim, twórcy oryginalnego typu książki PWKS, o Girsie i Barcu, zdolnych techników, grafikach i drukarzach, o Mannie, wytwornym ilustratorze, Brzeczowski, Czerperze, Lipskim, Łuckiewicz... Tylu ich było.

Nie podobna omawiać twórczości każdego z nich w sposób wyczerpujący. Pozwoliłem sobie na wybór z tej plejady sylwetek, moim zdaniem, najbardziej charakterystycznych i dominujących, stylotwórczych.

Wspomniałem już o spadkobiercach. Trepkowski jest chyba jedynym z dawnych, który dziś pracuje. Inni zaginęli, lub rozjechali się po świecie.

W nielicznych dotąd dziełach grafiki użytkowej powojennej, jakie mieliśmy możliwość poznać, widać usiłowania rozpalenia dawnego ognia. Powtarza się formy i stylizacje. Ale to chyba wedle sposobu Pascala, który polecał zachowywać się tak, jakby się wierzyło w Boga, twierdząc, że zachowanie tego rodzaju wywoła wiarę.

Niestety, deformacja bez ducha bywa martwą formą.

Ta sama Wajwodowska barokowa, rama wyzuta jest z finezji. I nie ratuje Tomaszewskiego (Henryka) piękne i wykwinne literonictwo — brak w tych dziełach życia, które umieli zakląć w omawianym stylu jego twórcy.

Nie jesteśmy przecież u progu. W rysunkach i projektach Tomaszewskiego, plakatów Trepkowskiego i Eryka Lipińskiego, w Młodzianowskim i Jarnuszkiewiczu upatruje nadzieję nowego rozwoju. A przecież mamy jeszcze milczących dotąd — wielkich grafików: Chrostowskiego, czy Bartłomiejczyka, którzy z pewnością nie omieszkają wznowić artystycznej działalności.

Nowa demokracja musi stać się widownią nowego rozkwitu najbardziej demokratycznej sztuki. Tym razem nie na zamówienie totalizującego reżimu, który chce „opanować wyobraźnię“, czy przemysłowca, który chce zwabić klienta — ale na zamówienie społeczeństwa — dla radości oczu i upiększenia życia.

Jan Białostocki

na kliszach uroki architektury i pejzażu polskiego.

Jak można najlepiej — w szczupłych ramach tych notatek — scharakteryzować twórczość Bułhaka? Wydaje się, że istotną cechą artysty jest jego wyjątkowy dar obserwacji plastycznej, talent widzenia plastycznego. Uderza zarazem trafność ujęcia tematu kompozycyjnego w ramach obrazu, owo „skomponowanie“ tematu, którego mógłby pozazdrościć Bułhakowi niejeden malarz lub grafik.

Niczawodny, subtelny czynnik odgrywa w tym wielką rolę. Wrażliwość artysty na bogactwo utajonych w naturze „walorów“, umiejętność należytego wydobycia i wypuklenia ich w sposób dyskretny, wrażliwość na kontrasty światłocieni, stopowanie najprostszymi, pełnymi smaku i umiaru środkami technicznymi, dalekich od efekciarstwa i łatwizny sprawiają, że zdjęcie bułhakowskie rozpoznac możemy wśród dziesiątków zdjęć innych od razu, od pierwszego rzutu oka. Zdjęcia Bułhaka przemawiają najmocniej w tych obrazach, w których wyżyć się może jego liryzm, posunięty niekiedy aż do patosu. Utrwalił zmienność i przemianę światła — uchwycił „moment“ oświetlenia, wydobył „nastrój“ motywu pejzażowego czy architektonicznego — oto zadania, którym daje pełny upust romantyczna poetyka artysty. Zapewne, mody czy kierunki ulegają zmianom; obecnie nawet w fotografii ujawnia się tendencja do suchej rzeczowości, do geometryzacji ujęcia kompozycyjnego. Ale impresjonistyczny styl zdjęć Bułhaka jest i pozostanie najszczytniejszym osiągnięciem okresu „plein air“ polskiej fotografii.

W pozodze wojny w Wilnie spłonęło 10 tysięcy zdjęć krajoznawczych artysty — przepadła jego biblioteka specjalna dzieł fotograficznych, artysta pozabawiony został całkowicie owoców swej całonocnej pracy.

„...i tu znowu Opatrzność zesłała mi nagrodę. Przyjechałem do Warszawy — kończy Bułhak swa opowieść — zacząłem w Warszawie fotografować dla celów zarobkowych. Ale Warszawa uderzyła mnie jak obuchem, ogromem swego zniszczenia. Zniewolila mnie, przykuła do siebie, kazała ze sobą obcować bez przestanku. Przeżywałem ex posteriori jej tragedię, przeżywałem ze wstydem, że mnie tu nie było, gdy inni bronili i umierali. Przeżywałem długo i ciężko ale górnio, z bolesnym uniesieniem, z porywem do współudziału w atascześciu, w całkowitym jednoczeniu się z skatowanym miastem, z podziwem dla jego bohaterstwa.“

„I znowu szukanie duszy umęczonego miasta, szukanie duszy splugawionych murów, jakaś wyższa moc, przykuwająca mnie do nich. Musiałem żyć w ruinach, musiałem ciągle do nich wracać, śmierć murów była dla mnie całym życiem. Był znowu trud, była służba, ale była i nagroda, chwile górnych uniesień, chwile uciszenia i harmonii...“

Pozytywnym wynikiem emocjonalnego nastawienia artysty jest poważna kolekcja pięknych zdjęć, której wystawę oglądać możemy w Muzeum Narodowym. Podziwiać należy niezłomną energię Bułhaka, który w warunkach prymitywnych, operując małym aparatem, uzyskał cykl zdjęć z tematów ruin i zniszczenia Warszawy. Prace te, technicznie przygotowane w ciasnych ścianach małego pokoiku na Żoliborzu, noszą wyraźne piętno indywidualności artysty; Bułhak pozostał w pełni wierny samemu sobie. Groza zniszczenia, dokumenty wymowne bezprzykładnej zbrodni niemieckiej, miłość do splugawionych zabytków, których resztki zdają się wołać wielkim głosem o odtworzenie, o odbudowę, wszystko tam jest. Jest wśród tych zdjęć jedno, które wywiera szczególnie wstrząsające wrażenie: fragment tablicy spiżowej Zamku królewskiego z do-

stojnym napisem łacińskim, spoczywającej w opuszczeniu, wśród gruzów siedzi-by ongiś królewskiej, pod ponurą, milczącą nawalą chmur... Jak ją w stosach zwałisk wypatrzył Bułhak, jak ujął ją potrafił okiem artysty i okiem obiektywu, pozostanie to już jego tajemnicą, dość, że powstało zdjęcie fotograficzne, godne rylca Piranesiego. I takich zdjęć jest wiele...

Nasuwa się myśl, że gdyby artysta mógł uzyskać środki techniczne właściwe t. j. aparaty i należyte materiały fotograficzne, oraz choćby skromne, ale odpowiednie pomieszczenie na pracownię, dzieło Bułhaka przez czas dłuższy jeszcze służyć może kulturze polskiej, służyć Warszawie, gdyż zamiarem artysty jest nie tylko odtwarzanie ruin, ale i utrwalanie etapów odbudowy stolicy, dźwigającej się z chaosu zniszczenia. Wdzięczne też pole otwiera się przed naszym Ministerstwem Propagandy: wykorzystanie zdjęć bułhakowskich do wydawnictwa, obliczonego na zagranicę. Album takie, zaopatrzone krótkimi objaśnieniami i porównawczymi zdjęciami fot. z okresu przedwojennego, wymowniej od wszelkich słów i artykułów przemówi do świata wyrazistością dokumentu i dzieła plastyki.

Zygmunt Kamiński.

## 150-lecie koronacji obrazu św. Józefa w Kaliszu

W doroczne święto Opieki św. Józefa z oktawą, przypadającą w bieżącym roku na dni 12 i 19 maja, odbędą się w Kaliszu uroczystości, związane z obchodem 150-lecia koronacji cudownego obrazu św. Józefa w kolegiacie kaliskiej.

Jest to jedyny nie tylko w Polsce, ale bodaj i na świecie wizerunek Opiekuna Najśw. Rodziny, koronowany przed półtora wiekiem na mocy „Breve“ Ojca św. Piusa VI, a słynący od połowy XVIII-go stulecia szeregiem łask i cudów.

Miasto Kalisz i cała diecezja wrocławska, przygotowuje się do rzadkiego jubileuszu w szczególnej atmosferze wdzięczności dla św. Patrona, który chronił zarówno diecezję, jak i miasto od zniszczeń dokonanych w Ojczyźnie przez orkan wojny.

Rozpoczął już swe prace Komitet organizacyjny obchodu, wyłoniony w Kaliszu spośród miejscowego duchowieństwa, przedstawicieli władz, organizacji i społeczeństwa kaliskiego.

List pasterski Ordynariusza Diecezji wrocławskiej J. Exc. ks. biskupa Radońskiego, wydany w związku z obchodem będzie niezawodnie dla katolickich mas pracujących pobudką do wzmożenia życia religijnego przez ożywienie kultu św. Ciesli z Nazaretu.

Od 13 marca w Kaliszu i wszystkich parafiach diecezji, będą odprawiane każdej środy przez 9 tygodni nabożeństwa—nowenny do św. Józefa. Główne, majowe uroczystości, zaszczycone udziałem ks. kardynała Prymasa i ks. ks. biskupów, zgomadzą rzesze duchowieństwa i wiernych z całej Archidiecezji gnieźnieńsko-poznańskiej i zachodnich połaci Kraju.

I księża byli więźniowie z Dachau, którzy jeszcze w obozie krzewili wśród współwięźniów cześć św. Józefa i jego stawiennictwu i opiece szlusznie zawdzięczają swe ocalenie w ostatnich, krytycznych chwilach pobytu za drutami, wyruszą w piesznych pielgrzymkach do Cudownego Obrazu.

Cześć dla św. Józefa, płynąca z głębokiej i świadomej religijności tych zwłaszcza, którzy doznali wyjątkowych łask na skutek modłów doń zanoszonych w ciężkich przeżyciach wojennych, niech znajdzie ujście i wyraz w uroczystościach kaliskich.

A może stwierdzeniem nowych cudów z lat męczeństwa i chwały rozłożyłoby dla spotęgowania wiary narodu polskiego niejedna karta Złotej Księgi łask za przyczyną Obłubieńca Bogarodzicy w kaliskiej kolegiacie Jej imienia.

## Tygodniowy przegląd kulturalno-naukowy

Niedawno otwarto w Krakowie wystawę z zakresu historii Słowian, językoznawstwa słowiańskiego, literatur słowiańskich, etnografii słowiańskiej pracowników pierwszego w Polsce Studium Słowiańskiego U. J. i jego uczniów by zapoznać szerszy ogół z dorobkiem ośrodka naukowego krakowskiego na polu nauk o Słowiańszczyźnie, tym bardziej ze względu na aktualne dzisiaj zagadnienie współpracy słowiańskiej w nowym układzie stosunków europejskich. Oczywiście wystawa ta ze względu na swój charakter jak i szczupłość miejsca, nie może dać obrazu dorobku naukowego ośrodka krakowskiego w tej dziedzinie w całym zakresie. Najsilniej było reprezentowane językoznawstwo słowiańskie, które ma takie nazwiska jak: Lehr-Splawinski, Łoś, Nitsch i Rozwadowski.

Obok nich wystawione były prace ich uczniów dziś już zajmujących poważne stanowiska w hierarchii naukowej jak Kuraskiewicz, Matecki, Milewski, Rospond, Estreicher, Obrębska, Taszycki, Safarewiczowa, Stieber i inni. Historia Słowian reprezentowana była przez Widajewicza, Semkowicza oraz Batowskiego, który oprócz prac z dziedziny literatur słowiańskich interesował się i historią słowiańską. Literatury słowiańskie reprezentował przede wszystkim T. St. Grabowski, który napisał wspaniałą pracę o Chorwacji, oraz poniósł niemałe zasługi nad udostępnieniem nam bogactwa literatury bułgarskiej. Razem z wystawą odbył się pierwszy po wojnie Kurs Słowianoznawstwa dla nauczycieli szkół średnich krakowskich.

Idea, która przyświecała organizatorom tego kursu był motyw, że nauczyciele propagować będą jedność Słowian wśród kolegów i młodzieży oraz uwzględnić tematykę słowiańską w nauczaniu. Wykłady prowadzili profesorowie U. J. dając w ten sposób rekojmię poziom. Np. prof. Moszyński, autor monumentalnego dzieła „Kultura ludowa Słowian“ omówił osiągnięcia slawistyki polskiej na odcinku opracowania syntezy etnografii Słowian oraz stwierdził potrzebę opracowania zagadnień społecznych Słowian przez badaczy słowiańszczyzny. Prof. St. T. Grabowski poruszył między innymi konieczność uzupełnienia „Bibliografii słowianoznawstwa polskiego“ Kołodziejczyka, oraz wydawanie czasopisma poświęconego kulturze słowiańskiej. Prócz nich należy wymienić głos prof. Widajewicza, który domagał się uaktywnienia prac historycznych nad Słowiańszczyzną, które będą mogły ruszyć z martwego bądź co bądź punktu na jakim stoją od

czasów Bogusławskiego i Wachowskiego, w miarę wykształcenia nowego narybku naukowego. Jak z tego widać kurs był prowadzony na wielkim poziomie, gdyż prelegenci nie tylko omawiali zdobycze naukowe w badaniach nad Słowiańszczyzną, lecz także kreślili przed słuchaczami szerokie perspektywy w zakresie badań nad Słowiańszczyzną w Polsce.

W tym samym mniej więcej czasie odbył się w Krakowie Zjazd nad badaniami Plejstocenu w Polsce zorganizowany pod auspicjami P. A. U. przez prof. Szafera. Na Zjazd zjechali się wszyscy badacze tego okresu geologicznego w Polsce. Reprezentowane były wszystkie gałęzie wiedzy i wszystkie instytucje i zakłady naukowe, które mają coś do powiedzenia w tym zakresie. W szeregu referatów naukowych omówiono najnowsze zdobycze nauki polskiej w zakresie badań nad Plejstocenem.

Na szczególną uwagę zasługuje rezolucja jaką Zjazd powziął w zakresie badań nad zlodowaceniem uzasadniając potrzebę zorganizowania wypraw polarnych, które już urządziła nauka polska przed wojną, jak np. na Grenlandię i Szpicbergen. Do niezwykle ciekawych referatów należał z niezwykłą swadą krasomówczą wygłoszony referat prof. Szafera na zagadnienia florystyczne w okresie plejstocenijskim, w którym mówca stwierdził niezwykle pozytywny wkład tego okresu na kształtowanie się świata roślinnego. Zjazd zakończono w dniu 3 marca b. r. z niezmiernie doniosłymi wynikami w zakresie organizacyjnym i badawczym dla polskiej nauki w tym zakresie.

J. Ant.

## List do redakcji

Panie Redaktorze!

Sprawa jest drobna, ale dla autora drażliwa. W rękopisie mojej recenzji z książki Pruszyńskiego („Dziś i Jutro“ Nr 8) zaznaczyłem cytaty w ten sposób, że powinny być one być złożone odmiennym drukiem od tekstu. Jest to forma najbardziej przejrzysta. Redakcja jednak zdecydowała wydrukowanie całości artykułu tą samą czcionką, ale nie wyodrębniła cytat cudzysłowami, wskutek czego zlewają się one z tekstem i czytelnik nie może się zorientować, które zdania napisał recenzent, a które Pruszyński. Może to wyglądać nawet na podszywanie się pod cudzy tekst.

Oczywiście nikt nie czyta artykułów, a zwłaszcza recenzji tak dokładnie, by miał po dłuższym czasie sprawdzać takie szczegóły. Dlatego nie podaję formalnego sprostowania. Pragnę jedynie, by kwestia ta choć ogólnie była zaznaczona.

Antoni Golubiew.

## SZEROKI HORYZONT

# Prawdziwa sława – The True Glory

Dziś wyjątkowo zajmiemy się w naszym tygodniowym przeglądzie, nie materiałem prasowym — jak to ma zwykle miejsce — a filmem.

Chodzi nam konkretnie o film „Prawdziwa sława“ (The True Glory), który był wyświetlany w Warszawie w wersji oryginalnej na specjalnym pokazie. Film ten, nakręcony przez operatorów alianckich, między innymi i polskich, jest dokumentem, obrazującym w największym skrócie ostatni rok wojny na froncie Zachodnim — obejmuje okres od desantu w Normandii aż do kapitulacji Niemiec. Mówimy — dokumentem — ponieważ nie ogląda się na nim ani parad wojskowych, ani też wogóle „oficjalnej“ części wojny, a tylko rzeczywiste fragmenty walk, względnie przedstawienie wysiłku całego zaplecza walczącego frontu.

Jeżeli chodzi o skalę porównania, to widz polski miał jak dotąd sposobność oglądania długometrażowego filmu dokumentarnego produkcji radzieckiej „Francja Wyzwolona“, który jednak podszedł do całego zagadnienia bardziej z tego punktu widzenia, z tej perspektywy, z jakiej oglądał wojnę cywil — szary człowiek ze wsi czy miasta. Tymczasem „Prawdziwa sława“ jest wielką apoteozą wojny maszyn, wojny zmotoryzowanej i odnosi się wrażenie, że na tym tle walczących gigantów — czołgów, okrętów czy samolotów — ludzie są jedynie małoważnym dodatkiem, częścią składową całego mechanizmu, która niekiedy — film ukazuje to z całym realizmem — psuje się i pokrawiona leży w poszarpanym mundurze na ziemi.

Jedynie w nielicznych wypadkach obiektywy operatorów, którzy nakręcili „Prawdziwą sławę“ nie towarzyszą walczącym w pierwszej linii żołnierzom wojsk lądowych, marynarzom czy lotnikom. Jednym z nich, jest moment oswo-bodzenia obozu koncentracyjnego w Belcen. Zwały trupów, żyjący jeszcze człowiek — szkielet, który też koło leżących na ziemi zwłok swych dotychczasowych towarzyszy niedoli, obojętny na wszystko, wybiera wszy ze swej bluzy, stara kobieta, całująca w rękę amerykańskiego oficera, smutnej pamięci pan Kramer w asyście alianckiej policji wojskowej, uwolnieni więźniowie rzucający się łapczywie na surowe ziemniaki — to wszystko razem składa się na całość, mogącą

## Odpowiedzi redakcji

**P. Józef Woł., Kielce.** Treść listu Pana, dotycząca wysokich cen książek, nie jest słuszna. Proszę pomyśleć: przed wojną cena 1 kg. masła (Pańskie porównanie) wynosiła od 2—4 zł, dobra książka (oczywiście nie tak zwana beletrystyka kolejowa), kosztowała od 4—7 zł. Dzisiaj cena 1 kg. masła od 350 — 400 zł. — cena książki (przeciętnie, brane pod uwagę różne firmy wydawnicze) około 200 zł. Przyznajemy jednak, że tak cena masła jak i książki jest zbyt wysoka na przeciętne zarobki ludzi uczciwie pracujących.

**P. Tadeusz Gr., Grudziądz.** Recenzję z książki Widy - Wirskiego już posiadamy. Prosimy, oczywiście bez zobowiązania, o nadesłanie proponowanych nam artykułów historycznych o Śląsku.

**P. J. K. B., Warszawa.** Wiersze ze Szczecina jeszcze nie do druku. Warto pogłębić oba tematy i strzec się zbytniego werbalizmu.

wstrząsnąć każdym, kto patrzy na ekran.

Drugim takim fragmentem, nie związanym bezpośrednio z walkami frontowymi, jest przedstawienie tragicznej historii Oradour-sur-Glane. Ponieważ nazwa ta, nie mówi naszemu Czytelnikowi wiele, musimy dodać, że tak nazywała się mała miejscina we Francji, spalona zupełnie przez Niemców, którzy wymordowali przy tym prawie wszystkich jej mieszkańców — jedynie nielicznym jednostkom udało się zbiec. Od tego czasu, nazwa „Oradour sur Glane“ jest dla zachodniej części naszego kontynentu symbolem niemieckiego bestialstwa. Wydaje się nam, że dzieje się to przede wszystkim dlatego, że ten akt niemieckiego bestialstwa był tym wypadkiem odosobnio-

nym, który nie miał precedensu ani powtórzeń. Ile naszych wsi w Zamojszczyźnie nie miało swego kronikarza filmowego, któryby przekazał następnym pokoleniom ich całą gehennę?

Myślimy, że podobne refleksje były pewnie udziałem wielu polskich widzów na sali. Warto też zanotować reakcje widzów na pewne sceny oglądanego obrazu. Było kilka fragmentów, które spowodowały oklaski publiczności. Zanotuje najważniejsze: Stalin, Churchill i Roosevelt na wspólnej konferencji; niemiecki generał, zgłaszający kapitulację, podchodzi z wyciągniętą do powitania dłonią do brytyjskiego dowódcy — ten manifestacyjnie uchyła się od podania mu ręki; pierwsze nawiązanie łączności wojsk amerykańskich z radzieckimi — sali udzielił się entuzjazm witających się nawzajem serdecznie żołnierzy.

„Prawdziwa sława“ zmusza do myślenia. Widzi się las krzyżów, znaczących miejsce spoczynku tych, którzy z za morza przybyli, by tu walczyć o wolność. Widzi się w gruzach kwitnące niegdyś miasta. Widzi się rozbitków z zatopionych w konwojach alianckich statków — żalosne strzępy ludzkie, o twarzach zniekształconych strachem. Wszystko to film pokazuje bez osłonek, a umiejętnie wplecione wycinki niemieckich filmów sprawiają, że widz widzi Niemców nie tylko w podniesionymi rękoma, nie tylko jak pokonanych, ale i w aureoli koszarnej potęgi.

Wszystko to razem każe wprost powtórzyć jedno pytanie: „Kto chce spróbować jeszcze raz?“

Wilk

Redaguje: Kolegium redakcyjne, Redaktor naczelny: Witold Bienkowski. Kierownik Oddziału Krakowskiego: Wojciech Kętrzyński. Wydawca: Kolegium redakcyjne.

Adres redakcji i administracji: Marszałkowska 81 m. 17. Konto P. K. O. — Nr I—727. Redaktor przyjmuje codziennie od godziny 11 do 12.

Adres Oddziału Krakowskiego: Kurkowa 5 m. 4. Redaktor przyjmuje w poniedziałki, środy i piątki od godziny 13 do 14.

Prenumerata miesięczna 30 złotych. Kwartalna 85 złotych.

Złożono w Zakł. Graf. „Dzwignia“ Widok B-06329

Odbito w Drukarni „Czytelnik“ Nr. 2, Marszałkowska 3-5.